

RELACJA

p. Tadeusza Żórawskiego

nagrana 26 i 27.01.92 w Warszawie

przez Małgorzatę Strasz i Tomasza Gleba

zapis rozmowy

część I

© ARCHIWUM WSCHODNIE

I/952

[Pochodzę] ze starej rodziny warszawskiej. Pierwsze wiadomości są z powstania styczniowego. Ojciec mój pracował całe życie w gazowni miejskiej, matka zajmowała się wychowaniem dzieci, a rodzina była bardzo liczna. Mieszkaliśmy na Woli. Miałem cztery siostry, ja byłem jedynakiem. Troje dzieci rodzicom umarło w 1920 roku, kiedy bolszewicy podchodzili pod Warszawę.

Ja w 39-tym roku skończyłem małą maturę, w 42-gim roku na kompletach dużą maturę, następnie podchorążówka AK, niecała dlatego, bo nastąpiła wyspa. Moją grupę rozwiązano i wysłano nas do partyzantki. Ja i kolega wyjechaliśmy do partyzantki w okolice Wołkowyska, ziemie teraz przyłączone do Związku Radzieckiego.

W 44-tym roku, koniec marca – początek kwietnia, wracam do Warszawy leczyć rany i świerzbę. Straszna świerzba miałem. Wy jesteście szczęśliwi, że nie wiecie, co to jest świerzba: to jest choroba skóry, umiejscawia się między innymi na udach. Ponieważ ja byłem w zwiadzie konnym, rany aż się potworzyły, i to duże rany, ponieważ od siodła temperatura, to wszystko się grzeje – rozparpało się. Po wyleczeniu zostałem w Warszawie. Ponieważ już powstanie wisiało w powietrzu, zostałem przydzielony do zgrupowania Radosława, do batalionu ~~Czapy 49~~ Czapa-

Powstanie zaczęliśmy na Woli. Z 5-tego na 6-tego na obronę cmentarza ewangelickiego jestem poważnie ranny w rękę i kontuzjowany. Po przetransportowaniu mnie na Stare Miasto, po dwóch dobach odzyskuje przytomność. Prawą rękę mam złamaną i przestrzeloną, lewą rękę mam raną pod pachą i tu [w nadgarstku]. W tamtym roku wyjmowano mnie dopiero odłamki, dlatego, że [...]. Po wyzdrowieniu zostaje włączony do batalionu. Kanałami przechodzimy na Śródmieście, ze Śródmieścia na obronę ambasady francuskiej na [ulicy] Frascati, z Frascati na Czerniaków. Na Czerniakowie dość ciężko – zresztą wszędzie ciężko, Radosław to jedna z bardziej bojowych grup, nie dlatego, że ja tam byłem, to przypadek.

Agonia Czerniakowa. Przeplądam Wisłę i znajduję się w Grodnie. Sąd. Tam przeszedłem gehennę, w Grodnie: wybite zęby... O śledztwie nie ma co opowiadać, ze względu na to, że już tyle się nasłuchaliście i tyle jest napisane o tym, jak się zachowywali i co robili z nami, że powtarzać w kółko nie ma najmniejszego sensu. Tak się złożyło, że w 38-ym roku byłem na wycieczce z gimnazjum – a chodziłem do Lisa – Kuli na Odrowąża w Warszawie, bardzo elitarne gimnazjum – byłem na wycieczce w Wilnie i w Grodnie. I tak się dziwnie złożyło, że kiedy przechodziliśmy koło tego gmachu, w którym ja siedziałem – zresztą tysiące Polaków też – nasz historyk opowiadał, że gmach był wybudowany przez króla Stefana Batorego, klasztor czy zamek? – i w końcu został przerobiony na więzienie. I my się tam znaleźliśmy.

W Grodnie, gdzieś w okolicy czy pod koniec czerwca jest przygotowany etap. Etap olbrzymi. Niezapomniana historia, przemarsz tej olbrzymiej masy ludzkiej, tych więźniów przez Grodno centralną ulicą z więzienia na bocznicę kolejowe. Potworna ilość konwojentów, którzy nas konwojowali. Z nas pozostałości ludzkie tylko zostały. Byliśmy bardzo wycieńczeni. Niepodobni właściwie do ludzi: brudni, że zawszeni, to nikt nie widział, ale mieliśmy straszne wszy. Na bocznicę kolejowej stoją wagony przygotowane do transportu. Wagony kryte, chyba gdzieś 60 czy 80 dorosłych mężczyzn pchali do tych wagonów. Tak jak śledzie poukładani, po jednej i po drugiej stronie. Drzwi otwarte, bariereki porobione, za którymi stali konwojenci. Mało tego – konwojenci byli też na mostkach w wagonie z karabinami maszynowymi. Później w nocy zauważyliśmy, że wagony były podświetlone, to znaczy rozciągnięte przewody z żarówkami. Pociąg był oświetlony.

Podróż odbywała się bardzo wolno, głodno, chłodno, dlatego. Karmiono nas, trudno teraz powiedzieć: raz dziennie czy raz na dwa dni? Zresztą to pożywienie było straszne, bo człowiek nieprzeciętnie głodny, a dawali przeważnie śledzie i skibeczkę małą chleba. Więc człowiek głodny wszystko zjadł, a jak się zjadło, to strasznie pić się chciało. Picie było wydzielone. Zresztą od razu w tych wagonach potworzyły się kasty między więźniami: nadludzie i podludzie. To znaczy: nadludzie byli przeważnie złożeni z Rosjanów: więźniowie tacy jak my, tylko przestępcy, kryminaliści, którzy kiedyś byli na froncie, coś tam przeszkrobali. Tak samo wyroki bardzo duże dostawali jak my, tylko znali sytuację i bazowali na tych więźniach, którzy pierwszy raz znaleźli się w tej sytuacji.

Tu wspomina [p. Jerzy Mrozowski] o kaloszach. Ja rzeczywiście też miałem taką przygodę. W Grodnie znalazłem się w bardzo przyzwyczajonych butach, oficerkach. Te buty mnie zabrano i nic nie dali. Ale później, jak żeśmy wyjeżdżali z Grodna na etap – jest takie prawo w Związku Radzieckim, że „każdy więzień musi być nakarmiony i ubrany *po normie*, tak jak to przepisy nakazują”. Ponieważ ja byłem boso, więc ktoś z Ruskich w kącie znalazł strasznie brudne i podarte kalosze – i mnie dali te kalosze, żebym je założył, i już byłem ubrany *po normie*. Był też taki moment, kiedy dawali zupe. Ja nic nie miałem, nie było żadnej puszki blaszanej, nic, bo wszystko pozabierali – i nadstawiłem ten kalosz brudny na jakieś tam rozgotowane zielsko w wodzie, może nawet nie rozgotowane. Najważniejsze, że było coś się napić. Zresztą każda kropla jakiegoś płynu – my zdawaliśmy sobie sprawę – że dla nas jest bardzo cenna.

W ten sposób przyjechaliśmy do Orszy. Orsza, kiedyś duże miasto, kompletnie spalona – i dla ironii losu: więzienie na wzgórzu tak jak nowe. Ani jeden pocisk nie upadł w więzienie. Tam następna gehenna... Komisja lekarska. Tysiące mężczyzn, grupami wpuszczani byliśmy na taki olbrzymi plac, wokoło było więzienie, rozbieraliśmy się do naga, ubranie, co kto miał, składało się na kupki i przechodziło się dalej – fryzjer był. I śmieszna historia.

Obok nas były kobiety. Kobiety były strzyżone i golone przez mężczyzn, kobiety nas goliły i strzygły. Włosy na łonie i tak dalej, wszystko było wygłane. Włosy strzyżono maszynką, zresztą w straszny sposób. Następnie szło się do łaźni. W łaźni trochę wody, opłukało się. Przychodziło się na swoją kupkę ubrania i jak się okazuje: to wszystko było razem zmieszane. Bo w tym czasie, kiedy nas strzyżono, golono, kąpano, żołnierze robili rewizję w naszych ciuchach, w tych właściwie szmatach. Bo to były szmaty. No i każdy albo znalazł coś swojego, albo nie znalazł Y – więc łapał za cudze i ubierał się w to cudze ubranie.

Następnie szliśmy na komisję lekarską. Komisja złożona z kilku lekarzy, kilka niewiast było. Co oni pisali, co mówili: już nie pamiętam, w każdym bądź razie chyba już w tym czasie nasze losy były przesądzone, gdzie kto został skierowany.

Do więzienia. I znowu ileś tam dni – trudno mi mówić ile – w Orszy siedzieliśmy. Znowu na etap. Transport kolejowy, mniej więcej w ten sam sposób przygotowany, jak Grodno – Orsza, i droga. Droga, która trwała kilka – kilkanaście dni, bo jechaliśmy: Orsza – Mińsk – Moskwa – Archangielsk, i z Archangielska do Mołotowska.

Mołotowsk to był port wojenny, port przeładunkowy, wybudowany w czasie wojny, w 39 – ym roku. Właściwie budynków tam nie było, tylko dźwigi przeładunkowe i tak dalej. Obok – olbrzymie, olbrzymie składy amerykańskiego sprzętu wojskowego. To było składane w bardzo wysokie reje. Ja na przykład zapamiętałem, że jeździły bardzo potężne dźwigi, które łapały te samochody ciężarowe i bardzo wysoko jeden na drugim ustawiały.

Jeszcze sobie przypomniałem w tej chwili dzień 9 maja [1945 roku]. Przebudziłem się w więzieniu w Grodnie, przebudziła nas wielka strzelanina. Chłopcy z Wileńszczyzny bardzo się podnieśli, zaczęli nas pocieszać, że partyzantka przysłała nas odbijać. My żeśmy sobie nie zdawali sprawy, w jakiej my potędze, w jakim gnieździe osiadzimy – że to było niemożliwe, że żadna siła... Jak zobaczyliśmy w Grodnie, później, jak nas prowadzono, jaka tam siła potężna była, to żadna ekspedycja, nawet amerykańska, by nas nie zdołała odbić.

Jeszcze trzeba dodać – bardzo uciążliwe było sprawdzanie obecności w wagonach. Odbywa się przeważnie dwa razy dziennie, ale bywa, że i więcej razy. Jak pociąg stanął, wpadało 2 czy 3 żołnierzy, jeden oficer, oni mieli duże młotki drewniane i wszystkich przepędzali w jeden koniec wagonu – i później każdego rąbał i liczył: „Raz, dwa, trzy.” Jak się nie zgadzało, z powrotem. I tak dalej. Taki system, zupełnie jak w Niemczech.

Następnie załadunek na statek. Kolega [Jerzy Mrozowski] pisał o tym statku. Rzeczywiście to był statek angielski, tylko on się nazywał „Archangielsk”. Ja w tym czasie już zacząłem coś niecoś czytać po rosyjsku. Zresztą była tablica, że „z marynarki angielskiej”. Później kiedyś tam w obozie dowiedziałem się, że w ramach pożyczki – w gazecie wyczytałem – on był wypożyczony do Związku Radzieckiego i został zwrócony, właśnie ten „Archangielsk”.

Jak wyglądała podróż na statku: w lukach, luki przepiękne, olbrzymie, statek towarowy, były chyba 6–8 – piętrowe prycze zrobione, na których nas, jak jakiś materiał czy towar... Na półkach każdy sobie znajdował pomieszczenie. Raczej już się potworzyły grupy i tak dalej. W luku jechało, trudno powiedzieć, czy 1000, czy mniej, czy więcej ludzi, w każdym bądź razie bardzo dużo. Polacy do Polaków, różne narodowości się skupiły i zaczęła się podróż.

Na statku karmiono nas bardzo dobrze. Zupełnie inaczej, jak w więzieniu. Dawano chyba 2 razy dziennie, ale była taka, do dziś dnia [pamiętam], bardzo smaczna kasza z kukurydzy. Zapomniana taka potrawa. Ciągłe myślę, żeby taką kaszę zjeść. Bardzo smakowała. I tak jak w transporcie kolejowym, jak w więzieniu, wytworzyła się od razu kasta nadludzi, którzy opanowali całą tę masę biednych więźniów. I znowu się wyżywali: co lepsze zabierali, robili rewizje między więźniami, to znaczy szukali lepszego odzienia, może ktoś miał jakieś produkty żywnościowe, to zabierali i tak dalej. Opanowali znowu tę całą masę więźniów, która właściwie, jeśliby ktoś dał rozkaz, że „bijemy ich” – to byśmy ich rozerwali, dlatego, że ich stosunkowo mało było. Ale ludzie byli tak przestraszeni, tak maltretowani, tak głodni, tak wycieńczeni, że naprawdę nie mieli siły na jakieś tam bunt.

Jeżeli idzie o mnie, ja zachorowałem dość poważnie. Co to było, trudno mi powiedzieć, w każdym bądź razie torsje i rozwolnienie, jakieś zaburzenia straszne żołądka. Przyszedł – nie wiem, czy to był lekarz, czy pseudolekarz, bo takich uzdrowicieli było dużo, tak jak i teraz w Rosji – zbadał mnie i machnął ręką, że właściwie ze mnie już nic, i mnie wyniesiono z tego luku na pokład. I jak rzucili mnie na tym pokładzie, to tak ktoś zarządził czy nie zarządził, żeby zwracano uwagę na mnie. Ja słyszę, że mówi ten lekarz, że „jego i tak za parę godzin czy w stosunkowo krótkim czasie rzucą” – bo oni się musieli wyliczyć z ludzi – do jakiejś tam widocznie trupiarni, czy jak to nazwać, do jakiegoś składziku tych nieboszczyków.

Ale znowu jakaś opatrność: czy to świeże powietrze morskie, czy co, trudno mi powiedzieć, w każdym bądź razie ja jakoś odzyskałem siły. Odzyskałem na tyle, że zacząłem się ruszać, i jak dziś pamiętam te luki, to zapamiętałem, ciągle mam to w oczach – jak luki były otwarte, była zrobiona (bo ja stosunkowo niedaleko leżałem) krata stalowa, a obok tej kraty stały karabiny maszynowe skierowane w dół. Że w razie jakiegś buntu czy coś – a to było możliwe, bo jak powiedziałem nas tyłu tam było, że właściwie część by zginęła, ale można byłoby opanować statek.

W ten sposób, przez Morze Białe, przez Karskie Wrota czyli Cieśninę Karską, przez Morze Karskie zbliżyliśmy się do delty Jeniseju, do Dudzinki. W Dudzince, właściwie nie w Dudzince, tylko w nurcie rzeki, gdzie statek morski mógł tylko dojść, bo dalej już było za płytko, podpłynęli barki towarowe. I nas z tego statku przeładowywano na barki, barkami podwożono do Dudzinki, do portu i tam był już olbrzymi plac wygrodzony. Stały bardzo duże baraki, jakieś wiaty bardzo przewiewne i to miało służyć nam za mieszkania, żeby deszcz jak będzie padał, to żebyśmy mieli jakie nakrycie.

W Dudzince byliśmy stosunkowo krótko. Przez parę dni zrobiono z nami tam porządek, szkoda taśmy, żeby o tym

mówić. Komisje lekarskie, później komisje kwalifikacyjne. Starsi panowie, którzy z nami byli zaczęli podpowiadać, że „chłopcy, trzeba jakoś się tam urządzać”, to znaczy: co umiesz robić, żeby podawać, że zawsze fachowcowi jest łatwiej jak człowiekowi, który nic nie umiał.

Ja właściwie byłem w takiej sytuacji, że nic nie umiałem robić. Ja tylko nauczyłem się dobrze strzelać i jako tako wojować, i to wszystko było. No i to, co uczyłem się na robotach, na zajęciach praktycznych czy na robotach ręcznych w gimnazjum, to tylko umiałem robić. I podałem się właściwie chyba za ślusarza, ale tych ślusarzy, to właściwie wszyscy byli, bo w gimnazjum były zajęcia z metalem i tak dalej. Za dużo było tych ślusarzy. Jeszcze nas ubrano ponownie. Przyjechaliśmy w łachmanach — dano nam spodnie watowe podarte, waciaki, buty, jakąś bieliznę... Transport kolejowy i jedziemy dalej do Norylska.

W Norylsku znowu podzieleni na brygady. Dostają się do brygady — to było chyba *Piąte łag — oddzielenie*, tak to się nazywało. Dostają się do *brygady robót ziemnych*. Kiedy zajechaliśmy, jeszcze mrozu nie było — mieszkanie w namiotach. Znowu prycze drewniane, bez żadnego, ani siennika, ani koca, ani poduszki, nic, tylko to co właśnie miało się na sobie. Jakaś tam podłoga, klepisko. Brygada przeznaczona do robót ziemnych w tundrze. Wszystkie brygady były złożone mniej więcej z 30 osób. W brygadzie około 8 ludzi nie pracowało, reszta na nich pracowała. Tych 8–10 ludzi to byli tak zwani *blatnyje*, to znaczy bandyci, więźniowie kryminalni i tak dalej, pochodzenia rosyjskiego, którzy znowu opanowali ten mały tłumek 20 ludzi. W obozie dostawaliśmy 2 razy dziennie zupę, rano dostawało się pół litra zupy i chyba 600 gram chleba. Wieczorem już się nie dostawało chleba, tylko pół litra zupy i jakiś tam *czerpaczek* to się nazywało: 200 gram kaszy. I bywało tak, że rano przy rozdziale śniadania stał brygadzysta ze swoim sztabem i mówił, że „temu tylko chleb”, „temu pół chleba i pół *czerpaka* zupy”. Dlatego, że oni musieli zaoszczędzić na nas, żeby mogli dostatanio się najeść. Wieczorem ta sama historia. I tam, jeśli poszliśmy w tundrę, rzeczywiście trzeba było pracować, bo gonili, bili i tak dalej. Chodziliśmy pod ochroną. Przeważnie było 4 czy 5 strażników na brygadę, na tych 28 ludzi. Daleko chodziliśmy w tundrę.

Po iluś, iluś dniach ja w pewnym momencie załamałem się całkowicie. Dlaczego się załamałem — nie wiem, czy to mówić, czy nie mówić? Przy oddawaniu kału zobaczyłem, że w kale jest bardzo dużo krwi. W tym czasie ja nie wiedziałem, co to oznacza. W każdym bądź razie, kiedy wracaliśmy z roboty, z tundry do obozu, brygada szła, a ja szedłem z tyłu i zacząłem zostawać. Myślę sobie: „Takie już pieskie życie, koniec”. I po iluś metrach — za mną szedł jeden strażnik i on zobaczył, że zostaję i tak automatycznie jakoś to było, uderzył mnie karabinem, kolbą. My żeśmy szli po nasypie wąskotorowej takiej kolejki żelaznej, takiej *czortopchajki*. I naprawdę uderzył mnie lekko, on mnie nie uderzył mocno. Ale ja po prostu przewróciłem się i sturlałem się z tego nasypu. I leżę tam i czekam, że on będzie strzelał do mnie. Dlaczego — dlatego, że zawsze jak wychodziliśmy z obozu i jak szliśmy do obozu, zawsze oni modlitwę taką czytali:

— Krok w lewo, krok w prawo, konwój będzie używał broni, bo będzie uważał, że to jest *pobieg*, czyli ucieczka.

Ja czekałem po prostu tego strzału, żeby to nareszcie się skończyło. Całkowicie się załamałem. Krzyk się podniósł, brygada się zatrzymała. A na początku brygady zawsze szli ci wypoczęci, oni mieli siłę. Strażnik ich zawołał, dwóch. Oni przyszli, wzięli mnie za ręce, za nogi i tak do obozu zanieśli.

I tu jakiś cud boski: jak przyszedliśmy do obozu, to strażnik, który mnie uderzył, oddał karabin na wartownię i zaprowadził mnie do *san — czasti*, tak to się nazywało, znaczy przychodnia lekarska. Masa tam było chorych więźniów, on uctorował sobie drogę, ja za nim, wszedł do tego pokoiku, gdzie przyjmował lekarz, więźnia, który akurat był, wypędził, wyjął z kieszeni chyba dwie garści machorki, posypał lekarzowi i powiedział, że ja nie nadaję się do roboty, że zemdlałem, straciłem przytomność. Nie bardzo wiem, co on tam mówił, dlatego, że w tym czasie jeszcze dobrze rosyjskiego nie znałem. Lekarz spojrzął się na mnie, kazał zrzucić koszulę, zobaczył:

— Idź do brygady.

Ja poszedłem do brygady, do baraku. Na drugi dzień przychodzi, zawsze przychodził, *nariadczyk*. *Nariadczyk* to był taki gość, który nadzorował wyjście do roboty, żeby wszyscy wychodzili, żeby nikt się nie dekował. Przychodzi i mówi, że „taki a taki zostaje się w baraku, bo jest chory”. To znaczy ja. I „wieczorem pójdę na etap”. Właściwie do mnie nie bardzo dochodziło, co to jest etap. I rzeczywiście przyszedł wieczór, kiedy brygada wróciła z roboty, znowu tenże *nariadczyk* przyszedł, mnie zawołał, i mówi:

— Idziesz do innego obozu, tu więcej nie wrócisz.

Ja już miałem w brygadzie zaprzyjaźnionych Polaków. Pożegnanie. Wyszedłem. Poszliśmy tundrą do następnego obozu, do *Piątego łag-oddzielenia*. Jak się okazało — tam znalazłem się w niebie. Wprowadzono nas do baraku nieprzeciętnie czystego. Po tym brudzie, po tej strasznej historii, którą ja przeżyłem od Grodna: barak bielusiński, aż w oczach się kręci od tego. Na pryzach pościel, ludzie w białej bieliźnie w tym korytarzu. Przyszło nas, trudno powiedzieć, ale ze 20 do tego baraku. Stał potężny mężczyzna, oczywiście też więzień, dostał listę i po tej liście:

— *Familia...* Narodowość?

— Polak.

— Na prawo. Narodowość?

— Ruski.

— Na lewo.

Do innego pomieszczenia. W ten sposób zauważyłem, że cudzoziemców na prawo, Ruskich na lewo. Skończyło się panowanie tych *blatnych*, co opowiadałem, w kolei, na statku i w brygadzie, gdzie nie pracowali — tu się to urwało, skończyło.

Kolacji nie dostałem, tylko zaprowadzono nas do łaźni, dano czystą bieliznę. Przyszliśmy do baraku, poszliśmy spać. Ja pierwszy raz tak mocno usnąłem na tej pościeli, czysty po umyciu. Rano mnie zbudzono i dają mi miskę zupy, chleb — zresztą olbrzymi kawał chleba — łyżkę. I pierwszy raz od wielu, wielu miesięcy ja zjadam jakiś posiłek. Zresztą bardzo szybko się nasyciłem, bo żołądek był skurczony, nie zjadłem wszystkiego, więc mnie namawiano, żeby zjeść — ja nie mogłem.

Później nam objaśniono, że jesteśmy w tak zwanym *AK* — *aktiowanym komando*, to znaczy, jak to w obozach niemieckich te *dochadiagi*, czy jak to się nazywali — „muzułmanie”. Ja też się w takim czymś znalazłem, dzięki temu, że chciałem znaleźć śmierć, znalazłem się w takim baraku. Ten mężczyzna, który nas rozdzielał był Niemcem Nadwożańskim, znad Wołgi. Wszyscy Niemcy Nadwożańscy byli w 41-ym roku internowani, posadzeni czy na zsyłkę wysłani. I on był kierownikiem tego *aktiowanego komanda*. Przez kilka dni ja leżałem, jadłem, nie ruszałem się. Po kilku dniach przyszedł. Zauważyłem, że zaczął rozmawiać z każdym po parę zdań. W końcu do mnie dotarł: „skąd ja jestem, kto ja jestem?”.

— Polak z Warszawy.

— Acha, z Warszawy. A tu jest Polak w tym obozie.

Tam Polaków było strasznie dużo, ale tu chodziło o Polaka, który zajmował jakieś stanowisko. No i w końcu przyszedł do mnie, przyprowadził tego Polaka: Stanisław Dobrowolski. Siedział od 37—ego roku, więc właściwie on się nie przyznawał, że jest Polakiem. On mówił, że jest Białorusinem. Wspaniale rozmawiał, wspaniale znał polski język i był bardzo dobrze usposobiony do Polaków, to znaczy do mnie, i zresztą nie wiem, ilu on [Polakom] pomagał, tym się nie chwalił. Długo ze mną rozmawiał. Ja nie pytałem się, skąd on w 37—mym roku się tutaj znalazł. Często do mnie zachodził. Przynosił trochę machorki, trochę chleba, bo już wtenczas wszystko człowiek zjadał — i zapytał się, czy ja bym nie poszedł do pracy. To znaczy praca była nieoficjalna, tylko taka jakiegoś pomocnika. Mówię:

— Bardzo chętnie.

Bo takie siedzenie rzeczywiście trochę nudziło. On mówi:

— Jak będziesz pracował, praca nieciężka, tam jest mój znajomy, to dostaniesz więcej jeść, szybciej powrócisz do zdrowia.

Bardzo mnie tłumaczył, że jeśli chcę przetrwać, to muszę pracować. Koniecznie musi się pracować, bo inaczej to przepadnie człowiek i tak dalej. Ja poszedłem do tej pracy — do *drożdżowarki*. *Drożdżowarka* to była taka historia — jesteście państwo młodzi: pan może wie, jak się robi zacier z mąki do pędzenia bimbru? Nie? To źle. Robiło się mąkę, rozrabiało z wodą, wrzucało się zakwas, tak jak przy pieczeniu chleba, to zaczynało fermentować — i oni to dawali więźniom. Znowu po 200 gram dostawało się zawsze na kolację. To się nazywało drożdże. No i ja tam pracowałem, i od tych drożdży bardzo się poprawiłem.

A w ogóle do tej pory głodny bywałem właściwie zawsze, ale bywały straszne momenty tego głodu, tego wycieńczenia fizycznego: że się wstawało i padało z powrotem. Nie można było utrzymać się na nogach. Były takie momenty, że nic innego nie pragnąłem, tylko najeść się do syta chleba i umrzeć. Nic więcej. Nie miałem innego pragnienia — żebym wyszedł na wolność, żebym wrócił do domu i tak dalej — nic, tylko tego chleba do syta i umrzeć.

Tutaj już się trochę odmieniło. W tej brygadzie byłem 2 miesiące i rzeczywiście stanąłem na nogach. Po dwóch miesiącach przychodzi Stanisław Dobrowolski i mówi:

— Już dłużej nie można ciebie trzymać w tej brygadzie, dlatego, że będzie komisja i przesyłają ciebie gdzieś do brygady. A ponieważ bardzo dobrze wyglądasz, to na pewno pójdziesz w tundrę, na *kotłowan*. Ja mam dla ciebie inną propozycję. Załatwimy, żebyś poszedł do pracy na hutę szkła.

Po tej protekcji Stanisława Dobrowolskiego, starego więźnia, dostaję się do brygady „huta szklana”, której brygadziwą był Aleksander Jakowicz Dytrych, Niemiec Nadwożański, który też był aresztowany w 37—mym roku. Człowiek w wieku 40—45 lat, bardzo solidny. Brygada olbrzymia, bo złożona z 60 osób, obsługiwała całą hutę. Ja dostałem się na najbardziej prostą i najbardziej ciężką pracę. I znowu Stanisław mnie przeczytał lekcję, że „jeśli będę solidny, jeśli będę solidnie pracował czy nawet bardzo dobrze, to utrzymam się w tej brygadzie. A utrzymanie się w tej brygadzie to znaczy przeżyć”.

Zaczął się okres rzeczywiście bardzo ciężkiej pracy, to był olbrzymi wysiłek, ale to się opłaciło. Opłaciło się dlatego, że powoli, powoli — to trwało nie tygodnie, nie miesiące, tylko lata — ja z tego najprostszego robotnika stałem się fachowcem i to fachowcem cenionym. No, bo huta szklana opierała się tylko wyłącznie na sile i fachowej, i roboczej, najbardziej prostej sile roboczej, złożonej z więźniów. Było tylko dwóch czy trzech tak zwanych wolnonajemnych, zresztą też byłych więźniów.

Była huta szkła, była cegielnia, był bardzo duży warsztat mechaniczny na terenie tego obozu i najwięcej więźniów pracowało na robotach *odkrytych*, to znaczy w tundrze na budowie miasta.

Teraz coś o tych *brygadach*. Muszę powiedzieć o tym, że jakaś dziwna moda i reguła, jakieś takie prawo NKWD tam panowało, że więzień nie mógł być bardzo długo w jednej brygadzie. Po prostu, nie wiem dlaczego, przesyłali z obozu do obozu. I ja przez kilkanaście dni, czy może więcej, też się znalazłem — na przykład, nie wiadomo skąd, przyszli i przenieśli mnie do brygady na *kotłowany*. *Kotłowany* to znaczy kopanie fundamentów. Z tym, że Dytrych i kierownictwo — a kierownictwo huty było złożone z ludzi wolnych, dyrektor huty, naczelnik to byli ludzie wolni i oni znali nas, tych, co dobrze pracowali oni cenili — kiedy mnie przenieśli na *odkryte* roboty, to od razu kierownictwo huty zaczynało się starać w kierownictwie obozu, żeby mnie z powrotem przenieśli na hutę. Dlatego, że tam zobowiązywał plan i tak dalej, tak jak u nas kiedyś, i premia — oni byli zainteresowani. Zresztą obóz też,

kierownictwo obozu widocznie też czerpało jakieś dochody. I ja po iluś, kilkunastu dniach z powrotem zjawiałem się w brygadzie. Nie tylko ja, wielu pracowników huty szkła. No i w ten sposób zobaczyłem, jak wygląda praca w *Gorstroju*, na tych robotach publicznych. Rzeczywiście katorga i rzeczywiście tam była olbrzymia śmiertelność.

Jak budowano domy w Norylsku? W Norylsku była wieczna zmarzlina. W czasie bardzo krótkiego lata — o tym też będę opowiadał — ziemia rozmarzała gdzieś koło 20–25 centymetrów. Dalej, aż do skały, była wieczna zmarzlina. Ta ziemia składała się ze słoju, to był żwirek i ten żwirek miał słoje, warstwy wody. To była strasznie ciężka robota, dlatego, że całe narzędzie więźnia, który kopał *kotlowany* — a była norma, ja nie przypominam sobie jaka to była norma — kilof i szpadel. Więc trzeba było tłuc tym szpadłem. A fundament to był czworokąt 2 metry na 2 metry i można było, na przykład, kopać na głębokość 10 metrów — aż dokopało się do skały. Dlaczego tak, to też za chwilę powiem. Ale z kolei następny — tam co parę metrów kopało się takie studnie — tam mógł dojść do skały na głębokości 5 metrów, dlatego, że ta skała była jak góry falista.

W te studnie zakładano zbrojenie, zalewano gorącym betonem bez względu na temperaturę, czy było minus 50 stopni, czy było lato — zresztą problematyczne lato, temperatura plus 2 — zawsze budowa szła. Te pale wyciągano na wysokość półtora metra nad ziemią, to był grunt zniwelowany, i zbrojono, następnie betonowano taką podłogę. I dopiero na tej płycie stawiano dom. Dlaczego tak robiono? Dlatego, że jeśliby wykopano fundament normalny, tak jak u nas się kopie, to ponieważ z domu promieniuje ciepłota, ta wieczna zmarzlina roztapiałaby się i chałupa by się przewracała. W ten sposób budowano. Domy na palach. Pomiędzy płytą, na której dom stał a [ziemią] był prześwit — że zawsze ta izolacja zimna była, że nie nastąpiło rozpuszczenie.

Jeszcze ciekawostka, to jest bardzo ważne. Kiedy stawiano ściany, przywożono zaprawę murarską (zaprawa murarska była z cementu), rozrabiano gorącą wodą, tak, że jak przychodziła wywrotka, to ten beton parował. Murarze układali cegłę i następnie ten gorący beton rozprowadzali, w ten sposób powstawała ściana. Następnie zakładano elektrody, grzałki w tę ścianę, podłączano ją do agregatów prądotwórczych, nakrywano matami i suszyli ściany. Tak bez względu na temperaturę budowano dom.

To było rzeczywiście bardzo drogie budownictwo. Ale w ten sposób — jak my w 45 — tym roku przyjechalśmy do Norylska, to ja sobie przypominam, że stało kilkanaście czy kilkadziesiąt domów, a wyjeżdżaliśmy z Norylska, to powstało potężne miasto. W ten sposób właśnie, że była ciągłość tej budowy. Oczywiście miasto wybudowane przez więźniów. Zresztą wszystko, co robiono tam, to robili więźniowie. Jak myśmy obliczali, to w tych wszystkich obozach było gdzieś koło 150, może 180 tysięcy więźniów.

Po takiej przerwie pracy na hucie szklanej, ja z powrotem wracałem, bo znowu ściągano mnie jako dobrego pracownika, wracałem do brygady na hutę szklaną.

Przychodzi rok 47 czy 48. Mówiłem, że na cmentarzu ewangelickim byłem ranny i tu [w nadgarstku] zostały mnie się odłamki. Podczas powstania tych odłamków nie usunięto, to się zarosło — w 47 czy w 48 wdaje się ropień. Powstaje ogromna opuchlizna, wrzód. Kładą mnie do szpitala, do takiego szpitalika obozowego w Piątym łag — oddzieleniu. Robią mnie operację, operację robi mnie Czech i Austriak. Czech — nazwisko Jande, Austriak — nazwiska nie pamiętam, ale Willi. Bardzo prostym sposobem, prymitywnymi narzędziami, ale oczyszczają mi ranę, wyjmują odłamki, które trzymałem dość długo. Gdzieś mnie zginęły, nie pamiętam gdzie — bo chciałem ich przywieźć.

Szpital — znowu inny świat. I opowiem taką ciekawostkę właśnie o Rosjanach — bandytach, którzy całe życie właściwie „*tiurma to ich dom rodnoj*”, tak jak oni zawsze zaznaczali. Całe życie byli w więzieniu, byli w obozach. Wyroki mieli po 120 lat, po 100. Zresztą oni byli bardzo dumni z tego. Chwalili się, ile dziewczyn zgwałcili, ile ludzi zabili, ile mordów mieli. I między innymi wtenczas, kiedy ja leżałem w szpitalu, przynoszą — Fiedia on się nazywał, nazwiska nie pamiętam — człowieka z amputowanymi nogami do kolan. Amputowane obydwie nogi, przynoszą go do tego pokoju, gdzie myśmy leżeli. On był jeszcze pod narkozą. Jak opowiadają nam ci posługacze, obsługa szpitala, że Fiedia to taki mocny człowiek, że pokazał, co taki *blatnyj* umie zrobić.

Blatnyje nie chcieli pracować, po prostu nie honor było pracować. Dawali im różne zajęcia, *nariadczyk* był *blatnoj*. No ale odbiło mu [Fiedię] coś i nawet *nariadczykiem* nie chciał być — może chciał być głównym kucharzem czy co, nie wiem, trudno mi powiedzieć. W każdym bądź razie powiedział, że na robotę nie pójdzie. Ten, kto odmówił roboty, to szedł do BUR — u: *Barak Usilnego Reżima*. Ale w *Baraku Usilnego Reżimu* też trzeba było pracować. Wyprowadzali na roboty. Z tym, że w tym baraku dostawało się bardzo mało jeść: co drugi czy co trzeci dzień ciepła strawę. Barak był nieocieplany i tak dalej, i tak dalej, z wielkimi szykanami tam to wszystko było robione.

I Fiedzkę wyprowadzają na robotę. On powiedział, że na robotę nie wyjdzie. Jak nie wyjdzie, to jego na siłę. To on na dworze — a mróz na dworze gdzieś koło minus 40–50 stopni — do naga się rozebrał. Powiedziałem na początku mego opowiadania, że na robotę jeśli więzień wychodził, to musiał być ubrany i nakarmiony *po normie i formie*. Więc jego prowadzą, on idzie nago przez teren obozu, a to było gdzieś — nawet zastanawiałem się dzisiaj, ile to mogło być metrów, może 800 metrów długości miał ten obóz, może więcej, ale koło 1000 metrów — on przeszedł po tym mrozie, po tym lodzie nago i boso na wartownię. Za nim strażnicy niosą to ubranie, tam mu każą się ubierać. On nie chce się ubierać. W końcu zamarzł, zeszytniał — niosą go do *san — czasti*. I tam — nogi sobie odmroził, już nie ma ratunku — ucięli po kolana.

Na to go było stać. Ale jeszcze to nie wszystko. Kiedy oprzytomniał, zapragnął zapalić papierosa, a w izbie nie wolno było palić, tylko na korytarzu. Ponieważ on teraz był bezbronny, a wszyscy ci bandyci, ci *blatnyje* tak darli, tak wiele złego zrobili normalnym więźniom, politycznym, że wszyscy więźniowie ich mieli dosyć — innemu by dali, że „zapal sobie”, ale że to on: powiedzieli, że nie wolno. Jak on zapalił papierosa, to posługacz poszedł, zawiadomił

lekarza, tego doktora Czecha Jande. Ten przyszedł, zabrał mu, koniec. Ten człowiek po operacji, po amputacji nóg — na rękach spuszcza się na podłogę, wychodzi na tych kikutach zszytych do korytarza i tam pada zemdlony... Tego mogą dokonać Ruscy.

Mało tego, teraz przypomniła się mi jeszcze jedna historia, którą zapomniałem. Kiedy pierwszy etap mojej pracy był w tundrze, przed moją chorobą, *blatnyje* bez przerwy grali w karty (oni sami produkowali karty) i przegrywali wszystko. To znaczy on mógł przegrać swoje ubranie, swoje jedzenie, mógł przegrać moje ubranie, bo postawił, że on przegrywa moje ubranie, jak przegrał, to kazał mi się rozebrać i oddał temu, komu trzeba. Ale ja na własne oczy widziałem, jak przegrał pięć palców swoich. Kiedy przegrał, z całym nabożeństwem usiedli obok niego, skądciś w obozie — a to właściwie niemożliwa rzecz — wyciągnęli siekiere, był taki słupek, na którym były prycze wybudowane, zażądał — my żeśmy tam gdzieś w kącie byli zbici jak owce — zażądał papierosa, skręta, zrobili mu olbrzymiego skręta z machorki, zapalili — odciął palec i położył. Pociągnął parę razy, ciachnął, położył. Chciał następny — powiedzieli:

— Wolno, nie szybko!...

To on pociągnął... I tak pięć palcy sobie odciął, zawiązał w gałganek. Rękę zawiązał gałgankiem i poszedł do punktu szpitalnego. Dostał na pewno następne 10 czy 15 lat, bo *samowraditeľstwo* (to znaczy uszkodzenie samemu sobie) było karane. To był specjalny sąd, dorzucali mu do wyroku następne 10 czy 15 lat.

Wyszedłem ze szpitala, rany się zagoiły. Wróciłem do brygady na hucie. I chyba właśnie po szpitalu przyszedł do naszego obozu Władek Piotrowski z Leningradu. Kto jest Władek Piotrowski? Coś panu wiadomo o tym czy nie?

— Troszkę Pan Władysław opisał o sobie, ale sporo nie wiemy. Gdyby Pan mógł o tym opowiedzieć...

Ja nie wiem, czy będą się zgadzały, ale chyba tak. Władysława ojciec był kolejarzem w Wilnie, matka nauczycielka. W I wojnę światową — Władysław miał 5 czy 6 lat chyba — zostali ewakuowani na Syberię. Na Syberii zastaje ich rewolucja, umiera ojciec, on jakoś z matką wraca do Moskwy. Właściwie ja do dziś nie wiem, dlaczego on nie wrócił... Nie! Chyba wiem. Bo powiedział mi, że „podobają mu się założenia komunizmu”. Z tym, że Władek skończył politechnikę, wydział metalurgiczny. Ożenił się do 37 roku. W 37 roku, kiedy był ten pogrom w Rosji — to państwo z historii wiecie, Jeżow i tak dalej — został aresztowany. Dostał 25 lat. W 39 czy 40 roku pierwszym transportem więźniów przyjeżdża do Norylska.

Trzeba tu jeszcze powiedzieć, że Norylsk został odkryty chyba w 1922 czy 23 roku, jak mi opowiadano, przez profesora Schmidta. Na jego cześć była największa góra w Norylsku nazwana Szmicichą. I Władek właściwie od początku budował Norylsk. Zresztą w tym czasie, kiedy przyszedł do naszego obozu, był cenionym fachowcem. Do przyścia do naszego obozu był na kierowniczym stanowisku. Człowiek bardzo szanowany, nieprzeciętnie zacny. Wspaniały patriotą, żaden z nas nie był takim patriotą jak Władek — ponieważ my urodziliśmy się, żyliśmy w tej Polsce, na pewno chcieliśmy wrócić, na pewno tęskniliśmy — ale on zupełnie inaczej to przeżywał. Pracował w laboratorium na hucie szklanej, tylko w innej brygadzie. Mieli wydzielone swoje piece laboratoryjne, gdzie on był kierownikiem. Zresztą w jego brygadzie pracował Zbyszek Szelking, który już nie żyje. Bardzo wiele z Władysławem rozmawialiśmy. To człowiek światły, uczony, aż za bardzo kulturalny w tamtych czasach. Bardzo wiele od niego zyskałem, bardzo wiele rzeczy się dowiedziałem.

Następnie zjawia się w obozie — nie wiem, czy w tym samym okresie, tym samym etapem, ale to było jedno po drugim bardzo szybko — ksiądz Ciszek. Następna bardzo ciekawa postać. Nie wiem, czy ktoś wspominał o nim, czy nie. Ksiądz, obywatel Stanów Zjednoczonych, urodzony w Stanach Zjednoczonych, Polak, ksiądz Jezuita. Chyba w drugiej połowie lat 30 — tych jest wysłany ze Stanów Zjednoczonych do Rzymu, do Watykanu na studia misyjne roczne czy dwuroczne. Skończył studia misyjne i jest przesłany na polskie Kresy do, właściwie nie nawracania, tylko przywrócenia unitów (nie wiem, czy państwo wiecie, co to są unicy: to za cara tam nastąpił ten rozłam Kościoła) na łono Kościoła katolickiego. W 39 — tym roku, kiedy weszli „koledzy”, ksiądz Ciszek został aresztowany. 5 czy 6 lat siedzi na Łubiance w Moskwie. Zawsze był sądzony wyrokiem zaocznym, tak zwanym OSO: *Osobne Sowieszczanie*, i nigdy nie miał wyroku konkretnego, tylko zawsze dostawał 5 lat i po 5 latach mu przedłużano. Tak, że to mogło się ciągnąć do końca życia. Następnie jest w obozach. Nie wiem, w którym on roku przyjechał do Norylska — ja z księdzem Ciszkiem spotkałem się chyba w 48 roku, czy pod koniec 1947.

W 48 roku, kiedy przyszedł ksiądz Ciszek, zaczęto tworzyć *specobozy*, *speclagry*. Wszystkich kryminalistów, wszystkich bandytów — część jakaś, to był promil tego co było przedtem — została się. Ci, którzy mieli paragrafy polityczne, to się zostali. Nasz obóz, Piąte łag — oddzielenie, tak zwany *Kirpzawod*, z kilku tysięcy na raz zostało z 90, może 100 tych więźniów, resztę wszystko wywieźli. Ja się zostałem. I zaczęli napływać etapami ludzie, którzy podlegali pod te *specobozy*.

Ja byłem w tym czasie bardzo ważny na *hucie szklanej*. Bo był brygadzysta Aleksander Jakowicz Dytrych, ja i jeszcze jeden czy dwóch ludzi, a przecież załoga była koło 60 czy 70, czasem przychodziło nawet więcej. Mnie bardzo jakoś polubił, szanował Dytrych. Ponieważ chyba przeze mnie, jako dobrego robotnika — źle tak mówić o sobie — ale jeśli prawie 9 lat przepracowało się w tych strasznych warunkach na jednym miejscu, więc o czymś to świadczyło. Zwrócił się do mnie Dytrych — nazywał mnie Foma — i mówi, że jak będą przychodziły etapy, żebym ja szedł i swoich *ziemlaków* czyli rodaków wylawiał. Że ja jestem dość *gramotny parinok*, to znaczy wyuczony — dobrych robotników wylawiał, żeby to dla nas był pożytek. I rzeczywiście ja przyciągnąłem bardzo dużo chłopaków na hutę szklaną. Jedni byli dobrzy, inni nie byli dobrzy, to ich spławili...

Jakie zalety były na hucie szklanej, ta praca co dawała — ta praca dawała jedną rzecz: że pracowało się pod

dachem i w ciepłe. Mało, że w ciepłe: to był cholerny gorąc, tak jak jest na hucie. Bywało tak, że, jeśli przy piecu, to pracowało się tylko w koszuli, człowiek był tak spocony, że sól, która wychodziła z potem, to układała się we wzory. Tak, jakby ktoś jakieś wzory haftował. Wskakiwało się na mróz 50— czy 50—stopniowy na dwór i w jednej sekundzie ta koszula zamarzała. I proszę sobie wyobrazić, że ja tam nigdy się nie przeziębilem. Taka ciekawostka.

Druga ciekawostka... Acha, ja chciałem o zaletach. Oprócz tego, że pracowało się w ciepłe, pod dachem, to my żeśmy wypełniali zawsze procenty, ten plan, i dostawaliśmy bardzo dobre jedzenie. Jeśli się nie wypełniło normy przy budowie w *Gorstroju*, to dostało się 60 deka chleba, litr zupy dziennie i 200 gram kaszy (to troszeczkę mniej jak szklanka). A na hucie szklanej ja dostawałem kilo dwadzieścia chleba, podwójną porcję. Dostawałem też litr zupy, ale różne inne takie, na przykład placuszki do tej kaszy. Bo rano się nic nie dostawało, tylko zupę i kaszę, i te kilo dwadzieścia chleba, ale wieczorem dostawało się 400 gram kaszy, 500 gram zupy, jakiś kotlet rybny, jakiś nazwijmy to naleśnik czy jakiś placuszek jeden czy dwa. Tak, że była szalona różnica. My żeśmy nie byli głodni, tak jak ci ludzie z *kotłowanu*, którzy nawet ości rybne wybierali ze śmietnika i jedli. Takie rzeczy się zdarzały.

W tym czasie, czy może wcześniej, przybyła do nas bardzo duża grupa jeńców wojennych, ale też więźniów — oficerów japońskich z Armii Kwantuńskiej. Bardzo ciekawa historia to była. To była zwarta grupa. Byli u nas w obozie chyba pół roku. Nie byli wymieszani z naszymi brygadami, nie rozprowadzono ich po naszych brygadach, byli w zwartych grupach. Zнали język rosyjski, ale nie za bardzo chcieli rozmawiać. Z tym, że byli grzeczni, byli bardzo zdyscyplinowani. Później nie wiem, co się z nimi stało. Na pewno gdzieś wzięli ich na etap.

Teraz opowiem coś o narodowościach. Właściwie w obozie był cały świat. Począwszy od Chińczyków, skończywszy na Amerykanach. Byli Hiszpanie: dwóch czy trzech Hiszpanów z Błękitnej Dywizji. Błękitna Dywizja powstała podczas II wojny światowej, złożona z Hiszpanów ochotników, na front wschodni. Oczywiście jako sojusznicy Niemców. Dostali się do niewoli, po czym do obozu. Francuzi, Czesi, Rumuni, Niemcy, Polacy, Litwini, Ukraińcy — trudno wszystkich wymienić. Muszę powiedzieć, że bardzo dużo rozmawiałem z Ukraińcami. Bardzo mnie się podobali Estońscy, bardzo koleżeńscy, bardzo też koleżeńscy byli Łotysze, z Litwinami gorzej, podły naród, to mogę powiedzieć ze swoich przeżyć.

Ciekawą postać Polaka spotkałem: Władysława Sikorskiego, lwowianina. Człowiek kompletnie wynarodowiony. Mówił ktoś o nim, czy nie?

— Tak, śladowo.

On był w naszym obozie. Ja nie miałem z nim kontaktu. Tak jak powiadałem, co jakiś czas przesyłano nas, robiono przesiewy, odsiewy — znajdowałem się właśnie na *Gorstroju*, miesiąc, dwa czy kilkanaście dni. I za którymś tam razem znalazłem się w takiej strasznej brygadzie, że już też odechciało mi się żyć, chociaż ja do pracy byłem przyzwyczajony. Ale panowały straszne warunki, straszne stosunki. Ale ktoś mnie powiedział:

— Słuchaj, idź ty do Władka Sikorskiego. On jest brygadzystą i on zaraz porządek... Ty mów mu po polsku, on do ciebie będzie mówił po rosyjsku. I on zaraz porządek z nim zrobi.

I rzeczywiście — ja poszedłem do niego, mówię, że jestem Żorański, że jestem z Warszawy:

— Słuchaj, Władek — mówię tak i tak — dostałem się ze stiełkowitzu, z huty szklanej do tej brygady i mnie strasznie ten brygadzysta męczy, najgorszą, najcięższą robotę mi daje. Ja mało na gębę nie padnę.

— Pojdziom. Prowadź mnie do niego.

A to była przerwa obiadowa, więc weszliśmy do tego baraczku, do tego bałka na budowie, to były takie budki, gdzie w środku stał piecyk i po zjedzeniu jakiejś pozostałości kromki chleba ze śniadania, wszyscy się grzeli przy tym piecyku. Władek wszedł. Wszystkich wygonił. Został się sam z tym moim brygadzystą. I po rozmowie — skończyło się, zagwizdała syrena, wszyscy wychodzą na robotę, a brygadzysta mówi:

— Ty zostajesz się do palenia pieców.

Już nie poszedłem do swojej taczki, do swojej roboty. Już mnie postawił, żebym palił piec dla brygady, bo były takie przerwy w pracy, że trzeba było się ogrzać. A więc takie skutki. Jak się okazuje, Władek Sikorski, kiedy w następnych latach — to był taki okres przedrewolucyjny, przedstrajkowy — Władek Sikorski został zarąbany toporem. Zabity. Został wykonany wyrok na Władku Sikorskim.

Sam Władek Sikorski pochodził ze Lwowa. Chyba siedział od 39 roku. Całkowicie go zrusyfikowali — nie wiem dokładnie, ale chyba tak. Po polsku nawet chyba nie umiał się odezwać. W każdym razie — po jego czynach, to, co ja po sobie czułem — na pewno został Polakiem.

— A kim był brygadzysta, który pana prześladował?

Jakiś chyba Ormianin, Azerbejdżanin czy Gruzin. Oni byli tacy.

— A Sikorski był też brygadzystą?

Sikorski był brygadzystą, miał swoją brygadę, miał zresztą karną brygadę — z tym, że wszystko robił, żeby tych ludzi w swojej brygadzie jakoś, no... Na pewno oni musieli pracować, ale w żadnym przypadku nie okradał ich z jedzenia. Dbał o ich jedzenie i tak dalej.

— A w jakim obozie go zarąbano?

U nas, na kirzawodzie, znaczy w Piątym łag — oddzieleniu.

— W którym roku? Nie pamięta pan?

Pamiętam. Chyba w 53 roku, kiedy zaczęli się strajki. Wtenczas w obozie wykonali wyrok na Polaku — był Wrona, który też został zabity. To chyba wszystko, Sikorski i Wrona zostali zabici. Ale to było nie w przeddzień, w każdym bądź razie okres przedstrajkowy, kiedy już zaczęły się w obozach niepokoje.

— A jak pan sądzi, dlaczego go zabito? Przecież się opiekował ludźmi. Kto go zabił?
Ja nie wiem, kto go zabił, ale on miał wrogów swoich. Wpłynięcie jego na przykład na...

— Kto Panu doradził, żeby iść do Sikorskiego?
Nie wiem, ja nie wiem.

— W każdym razie Sikorski cieszył wśród Polaków dobrą opinią?
Dobłą opinią.

— Był tam uważany za opiekuna?

Mnie Polak poradził. Ja o Sikorskim słyszałem, ale właściwie nie miałem potrzeby do niego iść. Ja wiedziałem, co on sobą reprezentuje: że pochodzi z tej klasy *blatnych*, to znaczy przestępców, kryminalistów, ale kiedy znalazłem się w potrzebie, ktoś mnie poradził, nie przypominam sobie — żebym poszedł do Sikorskiego i że „on mnie pomoże”. I rzeczywiście pomógł.

Z tym, że zginął potem, wyrok na nim wykonano. I pamiętam jak wykonano. Oni zawsze pracowali w nocy, ta brygada karna Sikorskiego. Te studnie, które kopano były dla bezpieczeństwa odgródzone barierką. I on stanął nad tą barierką, spoglądał w dół, żeby zobaczyć, jak tam się ruszają ci pracownicy. I ktoś z tyłu podszedł i siekierą go zarębał, on wpadł do tego *kotłowni*. Zaczynają ci ludzie się wydostali, to już śladu nie było po tym, który go zabił.

Wspomniałem o Wronie. O Wronie też wam mówiono czy nie?

— Troszeczkę.

Wrona był strażakiem. Pracę strażaka dostawali donosiciele. Robota bardzo dobra, bo pożarów nie było w obozie. Może jakaś deska się zapaliła, więc chodził z toporkiem, pod waciakiem miał toporek, chodził, zbijał bąki, nic nie robił, dobrze jadł i tak dalej. Ale wiadomo było, że to byli donosiciele. Wśród nas jeden był strażakiem. To był kolega Zbyszka Szelginga z Wilna: Piotrek Karpowicz. Z tym, że to był prawy człowiek, młody, tak jak Szelging, dużo młodszy, oni byli chyba z 30 roku czy z 31 [...]. I on był strażakiem, mówię o Piotрку Karpowiczu. On tutaj wrócił, zaszedł bardzo wysoko: skończył studia, został chyba profesorem czy pracownikiem naukowym na Politechnice Gdańskiej.

Więc byli różni, ale w większości na robotach na kuchni, na piekarni, jako strażacy, pracownik kulturalno — oświatowy czy coś — to byli właśnie tacy, co uszu nadstawiali.

Wrona zginął — mniej więcej to się zaczął okres przedstrajkowy, coś zaczęło wisieć w powietrzu — była godzina siódma rano, to był tak zwany *rozwod*. *Rozwod* to wyjście do pracy. W taki gong z szyny bili i wtenczas *Gorstroj*, to znaczy pracownicy, co budowali miasto, wszyscy tłumnie wysypywali się z baraków i szli pod wartownię. Tam się ustawiano brygadami, otwierano bramę, orkiestra grała — tak, mieliśmy orkiestrę, która grała przy wyjściu na robotę — i podczas tego tego tłumu, kiedy szedł na robotę, zabili go. Zabili Wronę. I właściwie w tym tłumie, tak jak u nas gdzieś w Śródmieściu, taki tłum idzie, trudno się zorientować, że ktoś kogoś zabija. I tak zginął.

— Ale czy wiadomo było, że on donosił?

Ja powiedziałem: samo stanowisko strażaka w obozie już o czymś świadczyło.

— Ale Karpowicz nie donosił.

Karpowicz nie donosił.

— Wobec Wrony skąd wiedzieliście...?

Ja nie wiedziałem. Ja nie mówiłem, że to ja jego oskarżam, że Wrona donosił. Tylko wiedząc o tym, że na takim stanowisku zawsze konfidenci pracowali.

— Ale Pan spotykał się z Wroną przed jego śmiercią?

Tak, oczywiście: „cześć — cześć; do widzenia — do widzenia”.

— A jak on był przyjmowany przez was, przez środowisko polskie?

Ja z Wroną specjalnych kontaktów nie miałem. Tam było strasznie dużo Polaków i trudno utrzymać kontaktów ze wszystkimi. Zresztą tutaj chcę jeszcze jedno powiedzieć — trudno siebie samego krytykować, może w ten sposób nie powinienem postępować — ale ja raczej się garnąłem do ludzi, u których coś zdobywałem. Dlatego, że sam zauważyłem, że przez te lata jałowy się robiłem. Po prostu bałem się, że mnie jakiś wtórny analfabetyzm opanuje. Miałem takich kolegów, jak powiedziałem: przypominam sobie, w biurze projektowym pracował Mikołaj Szczerbiec. Dziwny to był człowiek, nauczyciel, bardzo kulturalny, pochodził z Kresów wschodnich. Podał się za Białorusina, z tym, że strasznie to przeżywał, że się podał za Białorusina. To był Polak, nauczyciel chyba w średniej w szkole gdzieś chyba na Polesiu, już zapomniałem. Drugi w tej samej brygadzie to był Karol, który umarł, Karol Dzierżyński? Dzierżanowski? Mieszkał na Ziemiach Odzyskanych za Wrocławiem, zapomniałem to miasteczko. Ja z nim się nie spotkałem. Bardzo dużo w wolny czas przebywaliśmy, rozmawialiśmy. Dużo przebywałem z księdzem Ciszkiem. Dużo rozmawiałem z Władkiem Piotrowskim. W każdym razie garnąłem się do ludzi, od których coś zdobywałem. Ja rozumiem, że rzeczywiście trzeba było iść między tych no... Nie każdy ma jakieś powołanie misyjne.

— Czy Mikołaj Szczerbiec to był starszy człowiek?

Starszy. On był nauczycielem, uczył bodaj w szkole średniej. Tak że to była duża różnica. My żeśmy wyjechali, on został. Później bardzo żałował, że on się podał na Białorusina.

— A nie wie Pan, czy on był oskarżony za AK?

Trudno mi powiedzieć, nie przypominam sobie.

— W jakim wieku był Sikorski?

Z tym wiekiem to jest dość trudno, dlatego, że tam wszyscy jednakowi... Wszyscy byli wystrzyżeni do gołej skóry,

ubrani w jednakowe waciaki. Jeden miał tylko trochę bardziej czyste i całe. Na przykład Sikorski jako *pridurek* – *pridurek* to taka wyższa sfera obozowa – miał waciaki czyste i nowe, ale to były waciaki. A jego robotnik, ten *brygadnik*, który u niego był, też tak samo był ostrzyżony, też w takich waciakach, tylko bardziej zniszczonych, podartych. Te twarze, czy jak je nazwać, gęby – mieliśmy wszyscy prawie jednakowe.

– A jak Sikorski znalazł się w obozie?

Nie wiem. Trudno mnie powiedzieć. Powtarzam: specjalnych kontaktów z nim nie miałem. Wierzę w jedno: że na pewno, jakbym się zwrócił do niego: „Władek, daj mi kawałek chleba”, to on by mnie dał bochenek. Poszedłby i znalazłby gdzieś, i przyniósł ten bochen chleba. Wierzę w to. Bo pytał się mnie nawet, czy nie jestem głodny, czy mam co palić, jak się do niego zwróciłem. To moja opinia o nim.

– A czy słyszał Pan o jego ucieczkach?

Tak. On chyba zgwałcił żonę kogoś, jakiegoś naczelnika czy coś... Chyba samolotem chcieli uciekać, chodziły różne takie opowieści...

Muszę powiedzieć, że samo słowo „ucieczka” w Norylsku to sprawa nierealna. Ludzie, którzy mieli ograniczony wzrok albo nieświadomość, w jakim miejscu ziemi oni się znajdowali. Przecież przed nami było 2500 do 3000 kilometrów ziemi niezaludnionej, zmarzniętej, bez ludzi. Jak to przejść? To nierealna historia. Albo byli ludzie całkowicie zdeterminowani, którzy wzięli się za ucieczkę, albo nieświadomi tego, czego chcą dokonać: że przez tę połą olbrzymią kraju nie mogli przejść, że nie przejdą, w żadnym wypadku nie przejdą.

W 50 – tym roku następuje u mnie pogorszenie zdrowia: zaczęło się straszne krwawienie hemoroidów, do tego stopnia, że żebym jeszcze dłużej krwawił, nastąpiłoby wykrwienie organizmu. Tak ze mnie krew się lała, że przesiąkały dwie pary spodni watowych.

I kierują mnie do szpitala do *Czwartego łag* – oddzielenia, na tak zwany *Miedstroj*. Tam szpital już zupełnie inny – to był 50 rok – zupełnie inny jak u nas w obozie, bo w obozie to była jakaś izba tylko szpitalna. Tam szpital z salą operacyjną i tak dalej. I tam znowu dziwnym zbiegiem okoliczności spotykam się z *Władkiem Piotrowskim*. Bo *Władek Piotrowski* przedtem poszedł do szpitala. Kiedy mnie skierowano, zrobiono mi operację, leżymy w jednej sali, w jednej izbie szpitalnej. I znowu jakieś cholerne szczęście: operował mnie wolny lekarz pod nadzorem bardzo zdolnego lekarza – *Ukraińca*, który kończył studia w Warszawie – *Amelczuk*. Pochodził ze *Lwowa*. Też taka ciekawa historia: ja do niego po polsku, on do mnie po ukraińsku, w ten sposób nasza rozmowa się odbywała. I obaj żeśmy siebie rozumieli. Ani jeden, ani drugi nigdy nie odezwał się w [innym] języku, chociaż, jeśli kończył studia w Warszawie, to znaczy, że znał język polski. I pod nadzorem tego doktora *Amelczuka* wolny lekarz – nie przypominam sobie nazwiska, młody człowiek, który na pewno po studiach przyjechał na zaciąg komsomolski i dostał się do naszego szpitala obozowego, gdzie miał olbrzymie pole do doświadczenia, bo tam go nikt z nieboszczyków nie rozliczał – on mnie robił tę operację. Bardzo długo mnie po tej operacji, bo miesiąc czasu, trzymał w szpitalu. Dlatego, że powiedział, że tam jakąś historię źle zrobił i boi się, żeby mnie szew nie pękł. Bo *Amelczuk* powiedział. Mówi:

– Dlatego ja będę cię trzymał.

W szpitalu mnie się bardzo dobrze działo, chociaż w brygadzie też nie było źle, ale w szpitalu było dużo lepiej. Przy wyjściu ze szpitala *Amelczuk* mnie dał radę, jaką mam prowadzić higienę osobistą, żeby ta operacja wystarczyła na 5 – 10 lat. Bo będzie nawrót tej choroby. Kilkakrotnie mnie to powtórzył. Ja zacząłem stosować te jego wskazówki i proszę sobie wyobrazić, że minęło od 50 roku czterdzieści dwa lata i ja jestem zdrowy. Nie poszedłem drugi raz na operację.

Wracam. Praca jak praca. Cały czas w tej samej brygadzie.

– Wrócił Pan do Piątego?

Wróciłem do *Piątego*.

Teraz coś, dla urozmaicenia, o kraju i pogodzie. Ziemia nieprzeciętnie bogata. [...]. Nikiel, platyna, miedź, węgiel najwyższej jakości: antracyt. Góra *Szmicichia* bardzo bogata, cała pochodzenia pochodzenia wulkanicznego, to wiem od *Władysława*. Właśnie tam nieprzeciętnie dużo niklu było. *Szmicichia* miała kopalnię horyzontalną, to znaczy nie w dół, tylko w głąb skały kopano.

Zamieszkała przez *Tunguzów*, to taki odłam *Ęskimosów*, który był bardzo znany z opowiadania *Dytrycha*. Bo *Dytrych* w 50 – tym roku wyszedł na wolność. Chyba amnestia była dla *Niemców Nadwożańskich* czy coś – wyszedł na wolność i jednocześnie został naczelnikiem czyli dyrektorem huty szklanej. I w dalszym ciągu żeśmy razem pracowali, i dużo żeśmy rozmawiali. *Dytrych* był *Niemcem Nadwożańskim*, bardzo się interesował Europą Zachodnią (bo my żeśmy byliśmy dla niego Europą Zachodnią) – jak u nas się żyje, jak szkolnictwo było zorganizowane, bo sam też był nauczycielem przed aresztowaniem, i tak dalej, i tak dalej. Jeśli ja na przykład pracowałem na nocną zmianę, to bardzo często *Dytrych* przychodził i wołał mnie na pogawękę. Interesował się światem zachodnim, i z kolei opowiadał o *Szmicisze*, o bogactwach tej ziemi.

Ciekawostka – to klimat. Przeżyłem największy mróz minus 62 stopnie. Przeciętny taki mróz był minus 40 – 50 stopni. Tutaj czasem takie głosy się słyszy: „Tam to inny mróz, bo tam jest inne powietrze.” Guzik prawda – mróz jest mróz, wiatr jest wiatr. Jeśli wiatr na sekundę miał 30 – 40 metrów, kiedy człowiek nie mógł się utrzymać na nogach, kiedy konia nie wyprowadzano ze stajni, bo wiatr go przewracał, do tego 30 czy 40 stopni mrozu – metr wiatru na sekundę liczył się jako – 1 stopień, takie tam było przeliczenie – to jaka temperatura...

Zima 10 miesięcy, lato reszta, to znaczy te 2 miesiące. Wiosna – właściwie wiosny nie było. Był tylko przełom

bardzo szybki, kiedy było minus 20 stopni, to my już rozpięci chodziliśmy, bo byliśmy bardzo zahartowani, ale czuło się, że już coś wisi w powietrzu. Począwszy od października czy od końca września, skończywszy chyba w końcu lutego – była noc, ciemno. Pomiedzy godziną gdzieś wpół do dwunastej, dwunastą – trudno mnie powiedzieć, tam nie było zegarów, zegarka na rękę – do godziny gdzieś pierwszej, wpół do drugiej był prześwit, jak teraz jest gdzieś koło godziny siódmej. Taki brzask. I później znowu robiło się ciemno. Cały czas, nawet, kiedy był ten problematyczny dzień, też paliło się światło. Gdzieś pod koniec lutego czy na początku marca – pojawiało się słońce. Pierwszy raz jak się pojawiło, to było tak, jak u nas zachód: gdzieś ta kula słoneczna troszeczkę się pokazała i znikła. I wtenczas – właśnie z opowiadania Dytrycha – to było wielkie święto u Tunguzów, pojawienie się tego słońca. Następnie bardzo szybko następował dzień, ale to prawie w oczach. Dłuższy dzień, krótsza noc. I już koniec maja – początek czerwca już był na okrągło dzień. I znowu gdzieś koło północy – słońce cały czas chodziło dookoła – i gdzieś tak godzina jedenasta, dwunasta w nocy, to słońce zachodziło, tak jak u nas zachód i podnosiło się z powrotem.

Okres tego okrągłego dnia dla mnie był bardzo męczący. Bardzo źle się czułem, bardzo źle to przeżywałem. Mało tego, muszę powiedzieć, że ten okres był okresem wielu samobójstw, wielu załamań ludzkich. Ludzie popełniali samobójstwa, ci mniej odporni – zresztą ja też to miałem, drugi raz, ale dzięki... Ja w okresie zimowym miałem, ale mi to przeszło. Przychodziły bardzo ciężkie myśli. Bardzo wiele myślało się o domu, o wiosnie, o sadach. Nie tylko ja tak przeżywałem, ale wszyscy. Dawał się zauważyć nastrój nerwowy w obozie.

W początku czerwca, kiedy jeszcze był stosunkowo mróz minus 20 czy 15 stopni, już słońce bardzo operowało i zaczął się śnieg rozpuszczać. To był właściwie zlodowaciały taki śnieg, że jego trudno było nawet kilofem rąbać. Nie wiem, dlaczego tak się robiło – zupełnie jak jakiś granit, twardy kamień. I w bardzo krótkim okresie czasu, to parę dni trwało: tundra zielona się robi. Śnieg znikł i tundra momentalnie zielona. Położyłeś się spać, wyszedłeś na drugi dzień z baraku, już patrzę się, że zaczyna tundra być zielona.

W tym okresie wylęga się tak zwana *meszka*. Straszna historia dla ludzi pracujących w tundrze. Dookoła obozu też to było, na kraju obozu. Ochrona: strażnicy, konwojenci mieli *nakomarniki*, to się nazywało. My z kolei, więźniowie, którzy pracowali, nie mieli tej ochrony. To było takiego coś strasznego, że na przykład więźniowie, co pracowali w tundrze to sobie tu wiazali sznurkiem, jakimiś troczkami, żeby ta *meszka* nie wchodziła. To ona właśnie tu wygryzała... To była bardzo niebezpieczne, następowało zakażenie skóry i tak dalej. To była mikroskopijne muszki, jak u nas sok zaczyna fermentować i są takie drobne muszki – tak właśnie ta *meszka* wyglądała. Kolor tundry zielony po tyłu miesiącach białego śniegu – rzeczywiście piękny. Tundra kwitła – kolor żółty i kolor fioletowy, są u nas takie kwiatuszki fioletowe. Mało tego – była jagoda, była czarna jagoda. Przez ten krótki okres tundra dawała swoje owoce, z tym, że te jagody nie miały żadnego smaku (chyba Dytrych przyniósł nam kiedyś te jagody, dał nam spróbować; był ze swoimi pracownikami bardzo zżyty). I one rzeczywiście nie miały żadnego smaku, to była woda. U nas czarna jagoda ma smak, a tamta nie miała.

To o lecie. Później przez całe lato, przez całe 2 miesiące nie można się było rozstać z waciakiem. Bo na przykład za ścianą w baraku było ciepło i można było się ogrzać, ale jak się poszło z drugiej strony baraku, to trzeba było waciak zakładać, bo było zimno. Dostawaliśmy rzeczy, w lecie dostawaliśmy letnie umundurowanie, drelichy. Wtenczas chodziło się w drelichach. Ale ponieważ mnie zalecono, żebym nosił się ciepło, nie mogłem się przeziębiamć ze względu na operację, to ja zawsze na spodnie watowe kładłem drelichy „dla zmylenia wroga”. Bo nie wolno było, to było karane.

O lecie było, teraz o zimie. Pomimo tej strasznej rzeczywistości, w jakiej my byliśmy, były też piękne historie. Mieliście tutaj przykład, ja dzisiaj dopiero, jak szukałem, to zauważyłem. To bodajże Kazik...

– W początku czerwca zaczynał się ten okrągły dzień polarny?

Nie. Wcześniej.

– W maju, czy jeszcze wcześniej?

W maju. Gdzieś na początku maja już zaczynało się robić bardzo jasno i ta noc bardzo krótka.

– A ten „okrągły dzień”?

To był koniec czerwca i lipiec.

– A kończyło się to...?

Później już, jak pojawiła się pierwsza oznaka wiosny, to bardzo szybko robiła się noc. Bardzo szybko ten dzień się kurczył, a następowała coraz dłuższa noc. I już chyba koniec września czy początek października – to już była okrągła noc. Ja i wiele osób, z którymi rozmawiałem – noc łatwiej znosiliśmy, jak okrągły dzień. Ten okrągły dzień był dla nas bardzo męczący.

Teraz przychodzi jesień, która też właściwie błyskawicznie przechodziła. Nam fasowali ciepłe umundurowanie i po mrozie stosunkowo lekkim – 10–20 stopni – zaczęły się śniegi – *purgi*. Wrzesień, październik to właśnie okres tych burz śnieżnych. Olbrzymie wiatry i – zorza polarna.

Przepiękna historia, nie do opowiedzenia. Teraz porównuję ją do tańców Chińczyków z wstążkami – ewentualnie gimnastyczek, co mają te [wstęgi]. Zorza polarna tak właśnie chodziła, grała. Ona cały czas jest w ruchu. Przepiękne pastelowe kolory miała. Po powrocie, kiedy już jakoś odżyłem, znormalizowałem życie, zacząłem wertować książki o Dalekiej Północy, żeby porównać swoje przeżycie oglądania zorzy z opisem w książkach. Nigdy książka, opis w książce nie oddał tego, co ja widziałem. Później widziałem zorzę polarną w Leningradzie. Zorza polarna w Leningradzie jest inna jak na Dalekiej Północy, tam, gdzie my żeśmy byli.

– Gorsza?

Gorsza. Tam była piękniejsza. Może dlatego, że w tych warunkach wszystko piękniejsze mi się wydawało. I nawet jak zobaczyłem pierwszą kobietę po 10 latach, to wydawała mi się bardzo piękna. Jak się okazuje, to ci panowie mówili, że „to brzydactwo, nie daj Boże, żeby się więcej rodziło”...

O, teraz mi się przypomniał następny Polak, bardzo ciekawy człowiek: Władysław Sikora. Bardzo ciekawy człowiek. Był w ambasadzie japońskiej w Tokio do 39 roku, później, kiedy Japonia wydała wojnę aliantom, znalazł się z rodziną w Mandżurii. I kiedy „nasza” armia zwycięska zajęła Mandżurię, Sikora został aresztowany. Na wolności została się żona i dwóch synów — Sikora znalazł się w Norylsku. Bardzo inteligentny, bardzo kulturalny człowiek. Wróciliśmy razem, jednym etapem do kraju. Ja dotarłem do Sikory. Później jakoś nasze drogi się rozeszły, dotarłem do miejsca, gdzie — w Zalesiu czy gdzieś tutaj w Warszawie? — pojechaliśmy, ale już Władysław nie żył.

— On też był w Piątym, tak?

On też był.

Teraz coś jeszcze o służbie lekarskiej. Ci lekarze byli problematyczni. Czech Jande był na pewno lekarzem, Amelczuk był na pewno lekarzem — ale co do pozostałych? Willi był felczerem w armii niemieckiej, albo może i tym nie był. Wielu najpierw zostawało jakimś posługaczem, później pielęgniarzem, w końcu i lekarzem zaczynał być. Część ludzi przy ich pomocy umierała, część o mocnym zdrowiu przeżyła to, ale jakoś się to wszystko kręciło.

— Czy ten Willi nie miał czasem na nazwisko Rauch?

W każdym bądź razie bardzo ładnie śpiewał. Może i Rauch, nie wiem, trudno mi w tej chwili powiedzieć.

O życiu, o samym życiu. Na hucie szklanej pracowaliśmy osiem godzin. Nigdy się to nie kończyło, bo po pracy trzeba było iść się wymyć, zdać zmianę, wracało się do obozu. Najlepiej oczywiście było pracować na zmianie dziennej, bo później — ja już nie przypominam sobie, od kiedy — baraki zamykano.

Acha, bo zapomniałem powiedzieć: kiedy zrobiono specobozy, *spec — lagiera*, naszyto nam numery na wszystkim. Na nogach, na plecach, na walonkach i tak dalej.

— Wcześniej nie było żadnych numerów?

Wcześniej nie było numerów. Ja na przykład miałem numer O — 273.

— A co jeszcze się zmieniło z chwilą utworzenia *spec — lagrów*?

Na pewno warunki bytowe polepszyły się. Polepszył się porządek, organizacja. Na hucie nigdy nie okradali z jedzenia. Ale tak jak koledzy mówili, to nawet przy rozdawaniu posiłków nie było oszukiwania. Zwiększył się reżim, to znaczy dyscyplina była dużo sroższa.

— Czy wcześniej, przed utworzeniem *spec — lagrów* były baraki zamykane na noc?

Nie.

— A były kraty w oknach?

Były kraty w oknach. Z tym, że baraki nie były zamykane. Później, jak stworzono *spec — lagiera*, specobozy to zamykano.

— Ale na noc?

Na noc. Ja nie przypominam sobie, kiedy był ten *odboj* — bo *podiom*: pobudka, *odboj*: capstrzyk — — nie przypominam sobie, o której wieczorem, czy to była dziesiąta, czy ósma, trudno mnie powiedzieć. Ale tak jak powiedziałem, najlepiej było pracować w dzień. Dlatego, że później po pracy, jak się na dzienną zmianę pracowało, można było iść do kogoś, bo wszyscy przychodzili z pracy. A najgorsza była praca w nocy i na drugiej zmianie, bo tak „ni pies, ni wydra”. W dzień nie można było za bardzo spać, bo ciągle ruch w baraku był, budził się człowiek.

Czystość była w miarę przestrzegana, z tym, że plagą dla nas były pluskwy: przeraźliwe, straszne pluskwy. To jest cholerna rzecz, straszna rzecz. To są takie stworzonka małe, wielkości bożej krówki, brązowe, i strasznie gryzą. Mają swoich ulubieńców — jednych gryzą, innych nie gryzą. Spało na przykład na górnych pryczach, *narach*, bez koszuli, odkrytym, w baraku gorąco, zawsze światło się paliło, nie wolno było światła gasić, dlatego, że *nadzirатели* chodzili i patrzyli, co się dzieje w baraku, były patrole — człowiek nie spał, patrzy się — wychodzi szereg, jedna za drugą, tak jak mrówki, tylko większe, po suficie. I leżało na przykład 20—25 mężczyzn na tych *narach*: na jednych lądowały i gryzły, a drugich omijały. Najprawdopodobniej, rozmawiałem z lekarzami, to było coś z potem albo z zapachem człowieka. To była historia, która nas bardzo prześladowała. Co jakiś czas robiono tak zwaną dezynfekcję w baraku. Siarką. Acha, jeszcze siarka była, kopalnia siarki w Norylsku, jeszcze jedno bogactwo.

— A miała jakąś nazwę? Numer?

Kopalnia? [...]

I wtenczas całą pościel — bo mieliśmy już pościel, to był taki worek, gdzie były strużki z cheblarki, ewentualnie trociny i na tym się spało, była poszewka, gdzie znowu trociny były, poduszka i koc...

— A kiedy się ta pościel pojawiła?

U mnie pojawiła się, kiedy znalazłem się na hucie szklanej. Dlatego, że to była wzorcowa brygada, która wypełniała plany, zadania, Dytrych zresztą bardzo dbał o tą brygadę. U innych długo, długo tego nie było. Jeszcze raz powtarzam, że mnie Stanisław Dobrowski powiedział, że będę miał — jeśli posłucham jego rad — to na pewno moje życie w tym piekle będzie lżejsze. I rzeczywiście, było dużo lżejsze. Jakoś to wzięłem to sobie do serca, zresztą jestem człowiek obowiązkowy, bez względu na to, czy to w Norylsku, czy w domu, czy wobec dzieci, czy w pracy. [...].

Zbliża się rok 53. W 1953 — nie wiem, czy to był 52—53, czy 53, tak, 52 na 53 — do obozu naszego, zresztą do całego Norylska, przychodzi bardzo duży etap Ukraińców, bodajże z Karagandy. Jak się okazało, to byli ludzie bardzo dobrze zorganizowani, bardzo prężna organizacja była wśród nich. I według mego zdania — z perspektywy czasu

mogę powiedzieć – że to oni spowodowali tą falę strajków, która nastąpiła po śmierci Stalina. Byli bardzo dobrze zorganizowani. To widać było po brygadach, które z nich zostały stworzone. Później te brygady zaczęły rozbijać, ale już było za późno, to już nie pomogło.

Całe zło czy dobro (jeśli powiedzieć „zło”, to dla Rosjan, dla władz rosyjskich) nastąpiło dlatego, że Stalin kipnął. Dla nas nadszedł złoty czas. Po śmierci Stalina nastąpiło rozprężenie, to widać było. Nie wiem, dlaczego. I już chyba w kwietniu, tak mi się zdaje – Stalin umarł w marcu – w kwietniu wzięto nas, Polaków, do fotografii. Przy ostatniej fotografii robiono zdjęcia z numerami. Teraz zdjęcie zrobiono bez numeru. I poszła fala plotek, że „cudzoziemców mają wywieźć”. Czy do kraju, czy gdzieś – w każdym bądź razie, że cudzoziemcy mają odjechać.

Ale znowu nastąpiła cisza po tych zdjęciach. Ta historia ucichła. [...] I pamiętam jak dziś, spacerowałem po obozie z księdzem Ciszkiem. Ja się chyba mu spowiadałem czy coś... Ksiądz Ciszek, bardzo zacny człowiek, wspomniał kapłan, tak ni z gruszki, ni z pietruszki spotkał się:

– A może byś się spowiadał?

Ja mówię:

– Z czego ja się będę spowiadał?

– Aaa, wiesz, to nie zaszkodzi.

I tak żeśmy zaczęli chodzić, gaworzyć, gawędzić pomiędzy sobą i naraz mówić:

– Ja już ciebie wypowiadałem – rozgrzeszenie – Jutro możesz przyjść do komunii.

Opowiem – teraz odskoczę – jak ksiądz Ciszek odprawiał mszę. Odprawiał ją zawsze rano, przed pójściem do roboty, na leżący – chyba nawet Mogielnicki [Stanisław] toczył jemu kielich. Na piekarni pracował taki Polak, Mikołaj Iwanow, jemu wypiekał komunikanty bodajże. A wino robili z rodzynek, które dostarczali chyba przez jakieś kontakty z wolnymi. Wtenczas przychodziło się, kiedy odprawiał mszę. Ksiądz wychodził [...].

– A jak często były te msze?

Ja nie chodziłem do niego – on chyba codziennie odprawiał, tak mi się wydaje. Ja się tego nigdy nie pytałem. Ale mówię:

– Jutro przyjdiesz – jak się wypowiadałem – jutro przyjdiesz i przyjmiesz komunię.

I ja chodziłem. Dlatego, że – znowu ciekawe – my żeśmy nie rozmawiali o Bogu, o religii. Rozmawialiśmy... Między innymi ja byłem na wycieczce z gimnazjum, nasze gimnazjum miało pod opieką szkołę powszechną na polskim Polesiu i my żeśmy tam wyjechali. I ksiądz Ciszek tam niedaleko był, za Kobryniem. Nawet o tym żeśmy zgadali się i rozmawialiśmy. Więc takie rozmowy.

Chodziliśmy po placu w obozie – i naraz zamieszanie się zrobiło. Z wieżyczki żołnierz, który stał na warcie – bo obóz był otoczony wieżyczkami – zabił człowieka, który uciekł między ogrodzenie. Obóz był ogrodzony podwójnym płotem z drutu kolczastego. Pomiędzy tym płotem chodzili żołnierze z psami. I jakiegoś chyba *blatnego* chcieli zamordować, teraz nie kojarzę, który uciekając przedarł się przez druty kolczaste. Żołnierz jego zabił, a on uciekał, żeby on jego obronił przed śmiercią.

Od tej pory zaczęły się strajki, wybuchła fala strajków. Już nie wyszli ludzie na robotę – to był przyczynek. Już nie wyszli ludzie na robotę, rano też nie. Powywieszano czarne flagi na barakach. Jedzenie nam dawano. Właśnie Ukraińcy byli bardzo zaangażowani w to. Oczywiście podporządkowałem się. To wszystko, co te władze obozowe, te kierownictwo strajku dało, to wypełniałem.

Ale rzeczywiście te strajki coś dały. Nie wiem: czy po śmierci Stalina nam zaczęto płacić pieniądze, czy po strajkach? W każdym bądź razie, my żeśmy dostawali pieniądze. My, pracownicy huty szklanej tych pieniędzy dość dużo dostawaliśmy. To znaczy zarabialiśmy tyle ile wolnonajemni, pracownicy na wolności, z tym, że odtrącano nam za pranie, spanie, wyżywienie, na żołnierzy, co nas pilnowali i tak dalej. I zostawała się suma – nie wiem – może 200 rubli, może 300, może 400. I nam chyba wypłacano, tylko nie wiem, teraz nie pamiętam, 100 rubli czy 200 rubli, a resztę szło na tak zwany *licowej szcrot*. *Licowej szcrot* to znaczy po polsku „fundusz zwolnienia”. Jak się wychodziło na wolność, to z mego konta wypłacali te pieniądze.

Następnie pojawił się też sklepik w obozie. W sklepiku można było kupić papierosy, zresztą papierosy były *wyższego sortu*, bo „Kazbek”. Machorki do woli, do woli było cukru. Ja przypominam sobie, przez jeden miesiąc zjadłem 12 kilo cukru. Proszę sobie wyobrazić, że cukier jadłem ze śledziami, cukier jadłem z rybą, wszędzie był cukier. Po prostu jakoś organizm pragnął tego cukru. Później to się uspokoiło. I był taki *tłuszcz kombinżyr*. To była jakaś kombinacja łożu krowiego z tłuszczem zwierzęcym, z jakąś słoniną. Jak się smarowało, to się to kruszyło. Ale smak był, solą się sypało, smak był smalcu. Już coś innego było, jak do tej pory.

Można było kupić też wolne dania, w tej kuchni wolnej, gdzie się płaciło. Jeszcze jeden Polak: głównym kucharzem czy kierownikiem tej kuchni był Polak, chyba Grabowski się nazywał. To był człowiek z Wileńszczyzny. Nie wiem, co się z nim stało. On nie wyjechał...

No i ta fala strajków, jak się zaczęła, to się później parę razy powtarzała. Już to u mnie się zatarło, ile było tych strajków...

W końcu, w pewnym momencie zaczęli zwozić Polaków do naszego obozu. Nasz obóz był takim punktem centralnym. Zaczęli zjeżdżać się Polacy [z Norylska], raczej z centralnej Polski. W tym czasie, kiedy zaczęli zwozić Polaków z całego Norylska, wybuchł strajk. My byliśmy jeszcze nieodizolowani, mieszkaliśmy w barakach, które były umiejscowione na skraju obozu, gdzie było wyjście bezpośrednio w tundrę. I w pewnym momencie, podczas tego strajku, nasz obóz był zaatakowany przez więźniów, którzy pozostawali. Bo to już u nas głośno się mówiło, że my

wracamy do Polski. Ci więźniowie chcieli po prostu zaatakować nas, żeby wziąć nas na zakładników czy coś — coś tak mnie chodzi. Wojsko rozcięło druty od strony tundry i nas wyprowadzili z tego obozu. Prowadzono nas tundrą — trudno powiedzieć, ile to było kilometrów. To był jakiś stosunkowo mały obóz. Tam odbyła się komisja lekarska. Po tej komisji znowu nas wzięto do innych baraków i już chyba stamtąd wyjechaliśmy.

Ale jeszcze jedną ciekawostkę chcę powiedzieć, starałem się opowiadać po kolei, to oderwana historia. Któregoś dnia, zresztą tych dni było strasznie dużo, wracamy z pracy, z huty, ja byłem na pierwszej zmianie. Huta to właściwie nasz dom, bo to było poza obozem. W obozie zawsze można było podpaść, mógł się ktoś przyczepić, że nie miało się numeru, czy numer źle namalowany, czy oderwany, czy coś się niestosownie zachował. A na hucie to było jak u siebie w domu. I tam mieliśmy brzytwę. Bo oficjalnie co 10 dni chodziło się do łaźni i co 10 dni gołono i strzyżono, i tak dalej. W hucie mieliśmy natryski. Codziennie żeśmy się kapali, myli. Ślusarze nam zrobili brzytwę, my goliliśmy się, tak, że zawsze człowiek był ogolony. Ja jakoś dość długo zdawałem zmianę. Już wszyscy byli gotowi, ja golilem się. Ktoś z brygady przybiegł do mnie i:

— Tadeusz, już wychodzimy. Już strażnicy przyszli, idziemy na wachtę, na wartownię, żeby iść do obozu.

Miejsce, schówek na brzytwę był wszystkim wiadomy. Tylko zawsze trzeba było chować tę brzytwę, żeby, jak chodzili strażnicy po miejscach pracy, oni na wszystko uważali, żeby nie zauważyli, że my mamy brzytwę. Jak ja się ubrałem, to ta brzytwa leżała koło ubrania, schowałem do kieszeni, żeby iść do schówka. I jak wyszedłem z łaźni, to zaczęli na mnie krzyżeć, *nadziratelj* zaczął krzyżeć, że „idziemy, idziemy”. Ja zupełnie zapomniałem, że mam brzytwę w kieszeni. Proszę sobie wyobrazić, wychodzimy przez wartownię, wchodzimy do obozu — jak się wchodziło z pracy do obozu, to była rewizja; bez względu na to, czy mróz był minus 50 stopni, czy plus 10, to trzeba było się rozpiąć, i były takie kołowrotki — sześć czy dziesięć tych kołowrotek — tam wychodzili strażnicy wewnętrzni. Bo inna obsługa była w obozie, inna była na zewnątrz obozu. Na zewnątrz byli *krasnopagownicy*, w obozie byli cywile, jakby policja czy milicja — inny gatunek tego wojska.

— A na wyszkach?

A na wyszkach *krasnopagownicy*. To były te wojska partyjne, wojska wewnętrzne, tak jak u nas KBW. Jak się wychodziło w tundrę do *Gorstroju*, to *krasnopagownicy* pilnowali. Ci konwojenci to byli zawsze *krasnopagownicy*, a w obozie byli *nadziraciele*. I stoją ci *nadziraciele* przy tych kołowrotkach, żeby rewidowali. I do tych lepszych [*nadzirатели*] więcej ludzi jest. A stoi taki bardzo podły, strasznie podły człowiek. I ja tak idę do niego — gdzie ja będę tam siedział, kiedy tu szybciej przejdę — i podchodzę do niego, rozpięty. On jedzie tak mnie od góry, ręce wstawia — on się patrzy na mnie — i ja czuję, jak mnie krew ucieka. Bo to jest Kolargon, to znaczy karny obóz, z którego można nie wyjść... On [Jerzy Mrozowski] inaczej nazywa: Kawargon czy jakoś tam, według mojego zdania to się nazywa Kolargon.

I cud nastąpił. Włożył ręce do mojego *buszlata*, patrzy się na mnie tym takim jakimś wściekłym wzrokiem, mnie krew ucieka, czuję, że biały się robię — on wyjmuje ręce z kieszeni, kopnął mnie i uderzył:

— Idzi.

Z odpowiednim epitetem, i mnie nie aresztował. Ja parę kroków uszedłem, kładę ręce — on brzytwę zabrał i mnie nie wydał. Jakaś niespotykana historia. Później wszyscy tam:

— Co z tobą?

Patrz, że ja biały, że aż się ślaniam z tego przerażenia i przejęcia. Mówię:

— Brzytwę mnie zabrał i mnie nie aresztował.

— Nie może być...

Taka historia. Różnie to było — z najgorszego psa w pewnym momencie jakiś odruch ludzki się budził czy co, trudno powiedzieć, czym on się kierował, ale takie przejście miałem.

I to by było wszystko. Powrót to właściwie już macie — mniej więcej to samo, co opowiadają wszyscy. Przez *Poćmę*. Mnie z kolei po powrocie — tu Jurek Mrozowski jakoś nie wspomina — ja po powrocie do Warszawy — nie chcieli puścić do Warszawy. Bardzo mnie zachęcali, żeby na Śląsk jechać. Ja powiedziałem:

— Ja się do was nie prosiłem, proszę bardzo, odsyłajcie mnie z powrotem do Rosji. Ja tam mam pracę, mam zawód, mogę iść pracować. Jak mnie do Warszawy nie puścicie? — ja mam tu rodzinę...

Po wielu przesłuchaniach, prośbach, jakichś gwałtownych dyskusjach, że „my się bardzo przydamy na Śląsku w kopalniach” — powiedziałem, że nie jadę, wracajcie mnie z powrotem. Jednak dali mi wjazd do Warszawy.

Później miałem kłopoty z pracą. Na czy te kłopoty polegały — wszędzie było ludzi potrzeba do pracy. I kiedy szedłem, już miałem załatwione miejsce, jak wypełniałem ankiety (ośmiostronicowe, A-4): „pracy nie ma”. W pewnym momencie szwagier mój, pracował w wodociągach, w Miejskim Przedsiębiorstwie Wodociągowym był kierownikiem działu technicznego:

— Wiesz co, pójdziesz do wodociągów. Ja ci tę pracę załatwię.

No i rzeczywiście, porozmawiał z naczelnym dyrektorem, dyrektor wydał dyspozycję, żeby mnie przyjęto. I znowu ta sama historia. Mnie przyjmują do pracy, wypełniam ankietę: „nie ma miejsca”. Ze łzami w oczach idę do szwagra i opowiadam. Ten idzie do dyrektora Trynkowskiego, woła i mówi tak:

— Albo ty tu będziesz, albo ja będę. Bo ja kazałem ci przyjąć tego człowieka, ty nie przyjmujesz. Więc siadaj na moim krześle i prowadź to przedsiębiorstwo, albo ja zaraz zawiadomię tam, gdzie potrzeba, że ty tutaj chcesz mnie zmienić tą władzę i prowadź to przedsiębiorstwo.

To był nieprzeciętnie dobry fachowiec, wielokrotnie mi to okazał. No i ten się złamał, i zostałem przyjęty,

Zostałem przyjęty na moje pierwsze stanowisko: „pisarz budowlany”, za 620 złotych miesięcznie. Później w stosunkowo krótkim czasie stałem się *normowszczykiem* – technikiem normowania. No i później dalej jakoś tam poszło.

Przez dość długo, przez ładnych parę miesięcy nie dawali mi spokoju panowie z Pałacu Mostowskich. Ale to też jakoś zostało zmienione. Po prostu chciano, żebym był konfidentem na terenie wodociągów, żebym współpracował z UB. Później zaproponowano mi szkołę oficerską milicji w Szczytnie, dlatego, że ja człowiek doświadczony, bojowy, po przejściu, po walkach, 10 lat w więzieniu z kryminalistami – bardzo przydatny będę dla władzy ludowej i pójdę do szkoły do Szczytna. To była szkoła oficerska. Ja naprawdę tak byłem przyparty do muru, że nie wiedziałem, jak się wymigać i w końcu mówię:

– Ja do szkoły do Szczytna. Jak to? Ja się żenię. I pojedę do szkoły? Oprócz tego, ja nie wiem, czy ja się nadaję do milicji czy do jakiejś innej tam pracy, bo ja gadam w nocy. I przez sen bez przerwy opowiadam o swoich przeżyciach. U mnie na przykład rodzina nie może spać, bo krzyczę, opowiadam swoje przeżycia o głodzie, o tym co przeżyłem.

Jak on to usłyszał, to:

– Umówimy się za dwa dni.

W Pałacu Mostowskich oczywiście. Podpisałem chyba dziesięć oświadczeń, że „to co było między nami, to zostało między nami”. I od tej pory koniec. Już zostałem spokojny, już nikt mnie nie prześladował.

– A to, co tu Pan powiedział, to mówienie przez sen, to prawda była?

Nie. Po prostu przyszło jakieś tam kłamstwo i przyszedł spokój. Ale było nawet takie:

– Ja ciebie zgnoję...Do tego stopnia. Mnie nie zgnoili do tej pory, to i tu nie dam się zgnoić. Walczyłem z nimi. W pewnym momencie taki wybieg skądś się wziął w głowie i uzyskałem spokój.

– A w którym to roku było mniej więcej?

54–55. Zresztą to nie tylko ja przeżywałem, to wielu kolegów przeżywało. To by było wszystko.

Pan, który był razem z Jurkiem Mrozowskim kilka razy zaznaczał, że do Norylska podczas strajków przyjechał Woroszyłow. Więc przesada i to straszna przesada. Woroszyłow to jedna z szyszek KC w Moskwie. My żeśmy żądali prokuratora Krasnojarskiego Kraju. I rzeczywiście przyjechał, ale czy to był ten naczelny czy główny prokurator Krasnojarskiego Kraju, to nie wiemy. Myśmy nie znali tych ludzi. Pierwszy lepszy mógł powiedzieć, że „ja jestem taki...”. A trudno Woroszyłowa nie poznać. Ja widziałem tego prokuratora z Krasnojarskiego Kraju, to w żadnym wypadku nie był Woroszyłow. Woroszyłow to był starszy człowiek, siwy pan, jeszcze z siedemnastego roku. On już przecież był dowódcą armii jakiejś czy coś.

– A czy wyście wiedzieli, jak się nazywa prokurator Krasnojarskiego Kraju?

Nie. No skąd myśmy wiedzieli? My tylko żądaliśmy prokuratora Krasnojarskiego Kraju.

– A ten człowiek, który przyjechał, jak się nazywał, nie pamięta Pan?

Mnie się wydaje, że on nawet się nie przedstawiał nam. Zresztą my na pewno w Norylsku stanowiliśmy jakąś siłę. Tego nie można było nazwać, że byliśmy jakimś niebezpieczeństwem dla Norylska, dlatego, że byliśmy bezbronni właściwie: dookoła nas stały karabiny maszynowe, obóz był otoczony wojskiem uzbrojonym po zęby, z granatami, z psami, z karabinami maszynowymi, z automatami. A u nas co? Jedyne deski prycz, jedyna broń, no i jakieś kamienie, cegły. Nic więcej. I był taki moment, jak zaczęli pacyfikować, co nas przez druty wyprowadzono w tundrę – to chyba podczas drugiego strajku było – to przyjechała straż i węzami pod ciśnieniem, tak jak u nas to samo było na ulicach.

– A Pan widział, jak tymi węzami próbowano...?

– Oczywiście, że widziałem.

– I to się udało?

My za drutami byliśmy. Udało się, bo każdy strajk został spacyfikowany.

Kiedy wyjeżdżaliśmy, nam mówiono, że jedziemy do kraju, i przyjechaliśmy do Dudzinki, w porcie żegnał nas generał Paniukow. Generał Paniukow był komendantem *Noryl – lagu*. *Noryl – lagu* znaczy wszystkich obozów, które się znajdowały na terenie Norylska i okolic Norylska.

– I to się nazywało *Noryl – lag*? Pan się zetknął z tą nazwą?

Tak, tak. Ja się zetknąłem w obozie. My żeśmy tak mówili. Nam najprawdopodobniej ta nazwa się wzięła skądś z góry.

I kiedy nas żegnał w Dudzince generał Paniukow – ja nie wiem, czy poprzednio mówiłem – przeproszał nas za omyłkę. Omyłkę zrobioną przez rząd radziecki, że my żeśmy się tam znaleźli. Prosił, żebyśmy nie pamiętali o tych historiach, żeby zapomnieć, no i życzył nam dobrej, szczęśliwej drogi i najszybszego powrotu. To były słowa Paniukowa. My więźniowie żeśmy tak stali, a on na jakiejś beczce czy jakiejś skrzyni stał wysoko.

Następnie statek, którym jechaliśmy, nie nazywał się „Józef Stalin”, jak ten pan nazwał go, tylko „Maria Anna Uljanowa” czy „Anna Maria Uljanowa” – to była matka Lenina.

– A czy pamięta Pan wtedy ten epizod z chłopcami, którzy podpływali...?

Zaraz do niego wróć.

Droga Dudzinka – Krasnojarsk. Zajście z chłopcami, biedne dzieci – zdarzyło się w Igarce. To mniej więcej na połowie drogi między Dudzinką a Krasnojarskiem, jeszcze przed dopływem do Jeniseju Małej i Wielkiej Tunguzki. Igarka była ostatnim punktem przed niezaludnionym obszarem między Dudzinką i Igarą. To właściwie była taka

granica, gdzie jeszcze były osady ludzkie. Jak później się doczytałem, Igarka była jedną z najdalszych osad zsyłki w carskich czasach.

W Igarce właśnie, kiedy stanęliśmy na kotwicy, zaczęli podjeżdżać do nas chłopcy na łódkach i prosić chleba. Już tego chleba mieliśmy nadmiar i rzucaliśmy tym chłopcom. Myśmy byli na górnym pokładzie, żołnierze byli na dolnym pokładzie i któryś z tych żołnierzy wziął śrubę, która leżała i rzucił w chłopca, który został ugodzony w kregosłup bodajże. [Chłopiec] zaczął bardzo płakać i krzyżeć. Na nas to z kolei zrobiło olbrzymie wrażenie, ponieważ my przez 10 lat nie widzieliśmy dzieci i w ten sposób – tutaj prosi o chleb, a on rzuca i mało nie zabił tego dzieciaka – więc rzeczywiście... I zdaje się, że znowu ten pan mówi, że szum i chcieli bić czy zlinczować Rumuni: pomiędzy nami Rumunów nie było...

— Byli tylko Polacy?

Byli tylko Polacy. Nie wiem, kto z Polaków. W każdym bądź razie w bardzo agresywny sposób i żeby go dorwali, to na pewno by go byli zatłukli czy coś. On uciekł i więcej się nie pokazał.

Następna sprawa – to już taki mój dodatek, moje wyjaśnienie, taką ciekawostkę chcę powiedzieć, że w Dudzince, kiedy odjeżdżaliśmy z Dudzinki do Krasnojarska, był okrągły dzień. Po 9–ciu czy po 10–ciu dobach, kiedy żeśmy przyjechali do Krasnojarska, już był normalny dzień i normalna noc. Oprócz tego od Dudzinki dzień czy dwa były widoki monotonne, jeszcze była tundra. Później zaczęły się przepiękne widoki. Widoki, które ja po powrocie, do dzisiejszego dnia – wiele zwiedziłem, wiele podróżowałem – i takich widoków nie spotkałem. Nie wiem – żona na przykład twierdzi, że byłam wtedy w euforii wolności i może to tak na mnie wpłynęło. Ja jestem innego zdania, dlatego, że płynęliśmy przez dziewiczy kraj. W ogóle nie było widać ludzi, żadnych osad, żadnych dymów, nic. Nic. Później żeśmy wjechali, po Igarce, w piękną tajgę, której więcej już nie zobaczyliśmy, bo jak żeśmy wyjechali z Krasnojarska już w stronę Uralu, niby jechaliśmy przez tajgę, ale to były jakieś krzaki. Potężnego lasu, takiego, jak się widzi na filmach nie widzieliśmy.

Nic nie wspomnieli panowie [J.Mrozowski, M.Dobrowolski] o tym, że statek ciągnąłem za sobą barke, olbrzymią barke towarową, w której jechali więźniowie z Norylska – elita buntów, buntów strajkowych w Norylsku. Dokąd ich wieziono, my nie wiedzieliśmy, ale dowiedzieliśmy się, że to byli więźniowie, organizatorzy strajków.

— A od kogo dowiedzieliście się o tym?

Rozmawialiśmy z żołnierzami. Oni z nami chodzili. Pytaliśmy się, dlaczego oni [żołnierze] z nami jadą.

— No właściwie my nie jesteśmy potrzebni. Dla porządku.

Tak mówili. I oni nam opowiadali. Razem paliliśmy papierosy, częstowaliśmy się.

I w tym czasie bardzo ciekawa historia. Gdy jechaliśmy po Jeniseju, podali komunikat, że minister spraw wewnętrznych Beria został aresztowany. I reakcja tych *krasnopagonników*: jeden z nich w ten sposób zareagował, że jak oni to podali, to on za czapkę, tą czapką rąbnął o pokład, złapał się za głowę i uciekł. Znaczą od nas uciekł, schował się. Taka reakcja była.

— Czy z tej barki, którą ciągnął statek, dochodziły jakieś odgłosy? Śpiewy było słychać na przykład?

Im było do śpiewów, tak jak mnie do tańca... A mnie to może tańczyć się już chciało, ale im śpiewać to się nie za bardzo chciało. Oni taką przeszli szkołę, że odechciało im się śpiewać.

— A żołnierze wypowiadali jakąś opinię, co się z tymi ludźmi stanie?

Nie. W żadnym wypadku.

— A wy co podejrzewaliście: że dokąd ich wiozą?

W każdym bądź razie, pojechali do jeszcze cięższych obozów, jak był Norylsk. Oni przyjechali, ci Ukraińcy, którzy byli zarzewiem tych strajków, przyjechali z Karagandy. To był też bardzo ciężki obóz.

— A była może mowa, z którego obozu oni przyjechali?

Wiem, że z Karagandy. Karaganda to był taki obóz, jak *Noryl–tag*: masa małych obozów i jeden wielki.

— A czy chodziły słuchy, że tam są Polacy, na tej barce? Czy próbowaliście się dowiedzieć?

Nie wiem. Nie, nie przypominam sobie.

Kiedy przyjechaliśmy do Krasnojarska – też nic panowie nie wspominają – taka bardzo istotna rzecz: ogłosiliśmy... Do więzienia przywieziono nas samochodami. W Polsce to się nazywa „suka”, wóz więzienny, tam „czornyj woron”. Wieźli nas takimi chyba więziennymi samochodami. Przy wejściu do więzienia zrobiono rewizję, co nas zaszokowało, bo jak mówiłem, w Norylsku jak żeśmy odjeżdżali wypłacili nam pieniądze z tego *licowego szczotu*, i na statku mieliśmy okazję, i w tym obozie, dokąd nas przeniesiono, mieliśmy okazję wiele rzeczy sobie kupić. Na statku na przykład ja kupiłem szczyryk. Wielu kolegów, dla których wystarczyło tych szczyryków, sobie kupili. I później, kiedy przyjechaliśmy, w Krasnojarsku, do więzienia – tu Paniukow w Dudzince żegna nas, że jedziemy do kraju – tu przywożą do więzienia. Robią rewizję i odprowadzają nas do cel więziennych. Normalnie zaczynają nas traktować jak więźniów. Przespaliśmy, przeczekaliśmy do rana, bo to działo się w nocy, bo żeśmy stali do zmroku, chodzili po statku – nie wolno było zejść na molo, i później w nocy zaczęli nas wozić do tego więzienia.

Rano zaczynają nas wyprowadzać do ubikacji więziennych, tak jak to normalnie się robi w więzieniu. Później do umywalni chyba poszliśmy. Z powrotem do celi, zamykają na klucz. W tym momencie może nas było w tej celi 30–tu, może więcej, może mniej – to już jest nieistotne – i powstaje myśl ogłoszenia głodówki. No bo nie wiemy, co się zaczyna dziać. Zupełnie inna historia, jak nam mówił generał Paniukow.

I ogłaszamy głodówkę. Kiedy przynieśli nam śniadanie, takie normalne więzienne śniadanie, nie przyjmujemy

śniadania. Nie przyjmujemy obiadu. Zaczęliśmy zdaje się skandować, że „głodówka” czy coś, koledzy w innych celach usłyszeli i nikt nie przyjął śniadania. Głodówka.

Bodajże na drugi dzień znowu zażądaliśmy prokuratora. I stosunkowo szybko przychodzi prokurator. Znowu nie wiadomo, czy to był prokurator, czy jakiś... Oni mieli te epolety czerwone i złote, trudno było rozróżnić. I przyszedł naczelnik więzienia, i jeszcze jakaś tam obstawa ich. Zaczęli nam tłumaczyć, przepraszać, że takie nieporozumienie nastąpiło, żebyśmy przerwali głodówkę, dlatego, że w Krasnojarsku nie ma takiego hotelu, żeby nas pomieścić. To za duża grupa. Jedyne wyjście to zamknąć szkołę czy szkoły, no ale dzieci nie będą chodziły do szkoły. No więc, żebyśmy się zgodzili. Powiedział, że za dwa czy trzy dni już szykują transport kolejowy. Nawet taki szczegół zapamiętałem, że jeśli się zgodzimy (ale to bardzo daleko, zaznaczył) podróżować do kraju pociągiem osobowym, to będzie szybciej, ale mniej wygodnie. Oni chcą przygotować nam transport wojskowy, to znaczy w wagonach towarowych. I rzeczywiście to dużo wygodniej, bo my żeśmy – jak powiedział, że w wojskowych, to byliśmy traktowani jako wolni – a wojsko to i wygodnie ma. No, oczywiście nie ma takiego komfortu, jak w wagonie osobowym, gdzie miękkie siedzenia są, ale na pewno dużo wygodniejsze.

Zgodziliśmy się na transport wagonami towarowymi i chyba za 2 czy 3 dni żeśmy wyjechali. Z tym, że w Krasnojarsku mówino nam, że jedziemy do domu, do kraju już, a my żeśmy wylądowali w Połmie. I znowu takie rozczarowanie. Tam zaczęli nam tłumaczyć (o tym też nie wspominają [J.Mrozowski i M.Dobrowolski], że „to po prostu przerwa w podróży, żeby jakoś odpocząć” i tak dalej.

Droga Krasnojarsk – Połma była bardzo ciekawa. Jechaliśmy bardzo wolno, dlatego, że była jedna nitka w tym czasie kolei transsyberyjskiej, tak w każdym razie jechaliśmy. Co jakiś czas spychano nas na bocznice kolejową. My jechaliśmy na zachód, z zachodu z kolei jechały przepętzone transporty kolejowe broni do Korei na wojnę. W tym czasie była wojna w Korei między Koreą Południową a Koreą Północną.

Państwo się interesowaliście losami ludzi, którzy wrócili z nami tu, do Warszawy, jak ich losy potoczyły się dalej. Więc między nami w Połmie był pan Gajewski bodajże. To był starszy pan, bo my byliśmy stosunkowo młodzi ludzie, gdzieś w okolicy 30 – 32 lat. Pan Gajewski: mężczyzna żonaty, kulturalny, chyba inżynier z zawodu, wiele też z nami rozmawiał. Jak wrócił do kraju, do Warszawy – to był warszawiak – ja chyba raz się z nim spotkałem. Bo w tym czasie, w tych pierwszych miesiącach my musieliśmy się włóczyć, chodzić po różnych instytucjach, wyrabiać dowody osobiste, i jakoś się spotykaliśmy. Później już wszyscy wsiąkli w te swoje środowiska i mniejszy kontakt był.

Ale dowiedziałem się, że się powiesił. Powiesił się dlatego, że jak wrócił, to nie zastał tego co myślał zastać. To był człowiek żonaty. Jeśli ktoś nie wraca 10 lat po wojnie, no to osoba, która tutaj czekała na niego ileś lat urządziła sobie jakoś inaczej życie. On nie mógł z tym pogodzić się, powiesił się. To na pewno, tylko nie wiem, czy nie myłę nazwiska. Gajewski... Może się kiedyś dowiem.

— A imię? Nie pamięta Pan?

Nie pamiętam. Jemu po imieniu nie mówiliśmy, to był za poważny pan. My też byliśmy panowie, ale... U nas była taka przerwa w życiu. My ciągle myśleliśmy, że mamy po 20, po 22 lata. Ten czas u nas się zatrzymał i kiedy wróciliśmy do Warszawy jakoś tak nie mogliśmy się pogodzić, że – na przykład, taka ciekawostka – że Warszawa nie jest zaciemniona. Bo ja przez okres okupacji przyzwyczaiłem się, że w Warszawie było ciemno w nocy. A teraz wszystko się pali, wszyscy chodzą. Trudno było się przyzwyczaić, trudno przestawić.

— Z czym jeszcze Pan miał takie trudności?

Chwileczkę. Pójdę za ciosem. Bo ja tutaj napisałem... Wróciła z nami pani Ela czy pani Ala, nazwiska nie pamiętam, która była aresztowana – spotkałem się z nią w Połmie, tak jak z panem Gajewskim – która była aresztowana bodajże w 46 roku i wywieziona, zostawiła dziecko 7 – czy 8 – miesięczne, chłopczyka, u kuzynki. Kuzynka była mężatką, mieszkała na ulicy Kopernika czy na Okólniku, już teraz nie mogę sobie przypomnieć. W swoich zapiskach – bo ja szukałem wczoraj tego – nie znalazłem.

Moja rodzina – bo ona do nas przychodziła – moje siostry, matka bardzo przeżywała tę jej historię życiową, dlatego, że kuzynka, kiedy ona wróciła, przeprowadziła z nią rozmowę, że ona chłopca usynowiła, usynowili, chłopiec jest wychowany w duchu, że oni są rodzicami i w żadnym przypadku nie zgadzają się na to, żeby ona jego zabrała. Stała się rzecz szalenie ciekawa. Nie wiem jak to nazwać: chłopiec zaczął Ignąć do tej kobiety. Oni zaczęli na nią naciskać, żeby czym prędzej gdzieś wybyła z domu. To była sytuacja, gdzie nie tak szybko można było załatwić sobie, odnaleźć rodzinę – ja byłem w zupełnie innej sytuacji, też zaraz o tym powiem – i ona przez jakiś czas była u nich i w pewnym momencie nie wytrzymała. I teraz nie wiem, czy to ona powiedziała, ale chyba ona powiedziała, że ona jest jego matką. To już był duży chłopiec, to już się zrobił dziewięcioletni czy coś... Przyszła szczęśliwa do nas, przyszła z tym chłopcem. I znowu – ja już zacząłem inne życie, jakoś te nasze drogi się rozdzieliły, zatarły... Taka ciekawostka.

Ja też wróciłem z zaświatów. Przecież na grobie ojca było moje nazwisko, że zginąłem w Powstaniu. Byłem ranny, dość poważnie ranny, koledzy moi, z którymi byłem w jednym oddziale, którzy przeżyli (miałem dwie młodsze siostry, dwie starsze), do tych dwóch młodszych zaczęli przychodzić (były już dorosłe, nie tyle dorosłe, co panny czy jak to nazwać, dziewczyny, tak to nazwijmy) w niedwuznacznych zamiarach – i oni powiedzieli, że na pewno ja zginąłem. Siostry i matka na pomniku ojca na cmentarzu na Woli, mamy tam rodzinę, symboliczny napis zrobili, że „zginąłem w Powstaniu Warszawskim”. I za mnie co rok, na imieniny i na urodziny, odprowadza się msza żałobna. I naraz wiadomość, że ja wracam...

O tym się nie mówiło i nikt nie mówił, że w Tomaszowie Lubelskim, my przyjechaliśmy wieczorem, na drugi dzień rano po śniadaniu zebrali wszystkich nas przywiezionych, rozdali papier listowy, ile kto chciał, to brał papieru

listowego i koperty – żeby pisać listy do wszystkich znajomych, do rodziny najbliższej, dalszej, do znajomych w całej Polsce. Żeby po prostu nawiązać kontakt. Bo my żeśmy przyjechali z zaświatów, nikt o nas nie wiedział.

„Zaadresować i oddać”. Pytaliśmy się:

- My nie mamy pieniędzy. Gdzie znaczki kupić?
- Nic, to będzie pieczęć Czerwonego Krzyża i te listy zaraz odejdą.

Guzik prawda. Później sprawa się wyjaśniła. Oni dranie zebrali te wszystkie adresy i zaczęli robić wywiad o nas. Bo o nas polskie władze nic nie wiedziały. Rosjanie nie przekazali żadnych dokumentów o nas. Zupełnie zrozumiałe, że Urząd Bezpieczeństwa zaczął wszystko robić, żeby się coś dowiedzieć o nas. Między innymi te adresy, gdzie my adresowaliśmy napisane listy – już później mnie rodzina opowiadała, że po 10 latach coś zaczęło się dziać...

My mieliśmy własny dom na **Ulrychowie**. **Ulrychów** to dzielnica – teraz inaczej się nazywa – przy pętli „B”, róg Redutowej i Jana Olbrachta, Górczewska, przed **Jelonkami**, gdzie są domy studenckie. Ten dom nam zabrali w 75 czy 76 roku, rozebrany, bloki stoją. To było takie osiedle domków jednorodzinnych. Wszyscy się znali i mnie wszyscy znali. W pewnym momencie do matki mojej przychodzi sąsiadka i mówi:

– Pani **Żórańska**, był u mnie milicjant w cywilu, wylegitymował się i zaczął pytać się o Tadeusza.

Bo mnie tam znano, jak jeszcze nie mówiono „pan Tadeusz”, tylko „Tadeusz”.

– To ja go posłała, żeby on do pani poszedł, to by pani mu więcej powiedziała. On się pytał, czy ja byłem jakimś łobuzem, czy chodziłem do szkoły, co robiłem, czy byłem chrzczoney, czy należałem do partii, czy do partyzantki.

O, takie rzeczy. Za dwa, trzy dni znowu któraś tam z sąsiadek przychodzi i znowu opowiada, że ktoś był. Dzielnicy przyszedł, zapytał się, jak ja się zachowywałem i tak dalej. Miałem kolegę z gimnazjum, który mieszkał w leśniczówce w **Puszczy Kampinoskiej**. No i tam też napisałem do jego rodziców – nie wiedziałem, czy nasz dom stoi na **Ulrychowie** (było powstanie, z powstaniem przeszedłem z **Woli** przez **Śródmieście** na **Czerniaków**, więc nie wiedziałem, co się na **Woli** działo). Znowu przyjechał, że tam dobrnęli do tej leśniczówki i pytają się o mnie. Więc zaczęło się coś dziać.

I teraz historia taka: zaczęli wyjeżdżać z **Tomaszowa**, już rozjeżdżać się po całej Polsce. W zapiskach poprzednich [J.Mrozowskiego] padło nazwisko „**Pisarkiewicz**”. Tam jest Rzeczywiście on był *samorubem*, to się zgadza. Inwalidów wszelkiego rodzaju wysyłali w pierwszym rządzie, bo ich nie można było zatrudnić w kopalni. Jak go z jedną ręką? – więc go wysłali do domu. A my w tej **Poćmie** się wszyscy poznaliśmy, dlatego, że przyjechaliśmy chyba w lipcu, pod koniec lipca – tak mi się przynajmniej wydaje, a siedzieliśmy do stycznia. Kupa czasu. Więc mówię:

- Słuchaj, gdzie jedziesz?
- Do **Łodzi**.
- Jak do **Łodzi**, to jedziesz przez **Warszawę**.
- Przez **Warszawę**, bo mam rodzinę na **Pradze**.

A już był przygotowany. Bo właściwie, to nikt nie wiedział, kiedy wyjedzie [transport]. W pewnym momencie wchodzili i:

– **Pisarkiewicz** (czy **Żórański**), ubieraj się. Wyjeżdżasz.

Już zabieraliśmy, właściwie rzeczy to nie mieliśmy, już się szło do biura, tam wypełniali, kontaktu się nie miało. Ponieważ myśmy się zorientowali, że pierwsi inwalidzi [wyjeżdżają], więc ja mówię:

– Słuchaj, Ja tobie napiszę kartkę, adres. Idź, może tam stoi dom, to nawet powołasz się na mnie. Zawiadomisz w delikatny sposób, że ja żyję (bo nie wiem, co może być, jak mama zareaguje, to już starsza osoba), w delikatny sposób powiedz, że ja żyję.

– Dobrze. Na pewno, ręczę ci, że jak dom będzie...

I przyjechał. Puka do drzwi. To był domek jednopiętrowy. Mama akurat była na parterze. Otwiera mu drzwi. Staje przed nią człowiek w czapce rosyjskiej, w waciakach – bo my żeśmy tak przyszli – w butach brezentowych. Żeśmy wszyscy oczywiście mówili z akcentem rosyjskim, 10 lat bardzo dużo zrobiło. Przecież stosunkowo mało rozmawiało się po polsku, więcej się mówiło po rosyjsku, bo urzędowy język to był rosyjski, pomimo, że dużo Polaków było, ale...

– Pani **Żórańska**?

– Pani **Żórańska**.

– Proszę pani, ja jestem kolegą **Tadka Żórańskiego** i on chyba jutro czy pojutrze przyjedzie do domu.

No więc grom z jasnego nieba. W tym czasie byli różni oszuści, co się powoływali na różne. Mama mówi:

– Ależ proszę pana, mój syn – rzeczywiście miałam syna Tadeusza – ale on od 10 lat nie żyje.

– Żyje. Jutro czy pojutrze przyjedzie.

Siostra była na na I piętrze, słyszy, że mama głośno rozmawia – z tego wrażenia zaczęła głośno rozmawiać, a on jeszcze głośniej, bo myśmy byli tacy...

– Mamo, co się dzieje?

– A bo pan mówi, że Tadeusz żyje.

Siostra zbiegła i mówi:

– Jak to? To pomyłka. W żadnym przypadku nie żyje.

– Proszę panią, żyje. Ja mam kartkę od niego.

I pokazuje, na której ja adres napisałem. Siostra poznała mój charakter pisma. To była starsza siostra ode mnie i poznała mój charakter pisma, i wtenczas go wzięli. Za dzień, chyba na następny dzień, czy tego samego dnia – ja

mam nawet zachowane telegramy, które przysły do mnie do domu – przychodzi telegram. Ja nie wiedziałem, że przyszedł telegram. Woła mnie komendant obozu w Tomaszowie Lubelskim.

– Siadajcie, towarzyszu – mówi.

Ja usiadłem. On do mnie „towarzyszu”, ja do niego na „pan”. I zaczyna: gdzie się urodziłem, gdzie się chrzcilem – zresztą to już dziesiątki razy się mówiło, bo nas bez przerwy tam spowiadali. I ogrókiem dookoła, dookoła – skąd moja rodzina wie, że ja jestem w Tomaszowie Lubelskim. Ponieważ my byliśmy kuci na cztery nogi, już niejedno śledztwo się przeszło w życiu, to ja mówię (to był podpułkownik):

– Panie pułkowniku, ileś tam dni temu wstecz, ja wręczyłem panu listy i pan powiedział, że tego dnia pan wysłał do rodziny i najprawdopodobniej o tym rodzina się – doszły listy – dowiedziała, że ja żyję i przesyła telegramy.

A list brzmiał w ten sposób: „Czekamy na ciebie, mama, Janka, Hanka, później tam jeszcze szwagry, później moje siostrzenica, siostrzeniec.” Szwagrów imion ja nie znałem. Jakies obce imiona się wdarty. Siostrzeńców też nie znałem. Mówię:

– Tego znam, to siostra, siostra, matka, a tych nie znam.

– No dobrze. Ale skąd oni wiedzą, że wy towarzyszu jesteście?

– Pan pułkownik wysłał mój list...

I tak dookoła. W końcu machnął ręką. Te listy przysły dopiero, kiedy ja przyjechałem do domu. One przysły. Najpierw wywiady były, potem listy przysły.

– Ten podpułkownik to był wojskowy, tak?

Wojskowy. W uniformie UB, Urzędu Bezpieczeństwa, to znaczy z granatowymi otokami, a my żeśmy myśleli, że to jest piechota. Bo przed wojną akurat otoki granatowe miała piechota.

Teraz jeszcze wracam do Norylska. Tak nie po kolei napisane. W Norylsku był bardzo zacy pan, Polak, leciwy, nawet można powiedzieć, że bardzo leciwy, miał około siedemdziesięciu lat. Jego nazwisko Pol. Imienia nie znam, nie pamiętam. Pracował w obozie u nas w charakterze aptekarza, znaczy: tam parę proszków było i tak dalej, ale był na tym stanowisku.

– Również w spec – łagrze?

Tak, bo ja na wolności przecież nie byłem w Norylsku, zawsze w *spec – łagrze*. Był nadleśniczym do 39 roku w *Puszczy Białowieskiej* i w 39 roku był aresztowany i wywieziony, sądzony, więziony. Kiedyś tam trafił do Norylska, nie wiem, gdzie był przedtem. Wrócił razem z naszą grupą.

Ciekawostka, nie wiem, czy wiecie, że w Norylsku powstał pomnik ofiar stalinizmu, to znaczy między innymi naszych kolegów, którzy tam zostali po wieczne czasy. Ja mam tam swoją cegielkę, w tym pomniku.

– A gdzie ten pomnik powstał? W którym miejscu?

W którym miejscu, to ja nie wiem. Gdzieś na jakimś placu.

– Teraz?

Teraz. Chyba po 80 roku. Tak, po 80 roku, bo Władek Piotrowski był u nas, składał wizytę. On jeszcze pracuje, teraz też jeszcze pracuje na pół etatu. Nie wiem, skąd on bierze siły, 82 lata i ciągle pracuje. Zresztą jest bardzo ceniony i zdolny inżynier metalurgii. Był i powiedział, że taki pomnik ma powstać, że on dał składkę. To ja mówię:

– Weź – dałem mu pieniądze – weź tam poślij, żeby moje tam nazwisko się znalazło.

Jeszcze zanotowałem: kiedy żeśmy przyjechali do Brześcia, staliśmy na peronie przed odjazdem do Polski, po drugiej stronie peronu był pociąg z żołnierzami, którzy wracali z NRD. Jeszcze w tym czasie nie było chyba NRD – pociąg z armią okupacyjną z Niemczech. Oni, widocznie bardzo wygłodzeni byli – niewiasty nasze jechały w oddzielnym oczywiście wagonie, żeńskim – i dobrali się do naszych tych dziewczyn. Mówił ktoś o tym? Poszło hasło, że „do naszych dziewczyn się zabrali”, więc zaczęliśmy łamać te nasze prycze – nie prycze, i huzia na Józia, to znaczy na tych Ruskich. Nie wiem, co to by było, czy by nas paru nie zginęło, bo oni chwycili za automaty. Dopiero jak wyskoczył komendant naszego pociągu, zaczął krzyczeć, przeklinać, że „uważajcie, bo ludzie wyjeżdżają, są policzeni, ja za nich odpowiadam”, i ci żołnierze nas rozdzielili, tą całą awanturę. Pierwsi ci Rosjanie, to pasy zdjęli i zaczęli nas sprzączkami tłuc, no to my za dechy i ich tymi deskami. W bardzo krótkim czasie załadowano nas do wagonów i pociąg wyjechał z terenu dworca, już bliżej granicy. I tam dopiero nas przekazano. To była taka ostatnia potyczka z Ruskimi.

Chcę wrócić jeszcze do sprawy kobiet w Norylsku. Bodajże do 48 roku czy do 49, już dokładnie nie pamiętam, w zapiskach datę pominąłem – kiedy stworzono te *spec – obozy*, straciliśmy kompletnie bezpośredni kontakt z niewiastami. Bo do tej pory obozy były oddzielne. Męski obóz oddzielnie, żeński obóz też oddzielony od nas, bardzo mocno strzeżony. Ale żeśmy wspólnie pracowali w tym przemysłowym obozie. To znaczy: na hucie pracowały niewiasty, oczywiście więźniarki (nawet cięższą pracę wykonywały), na cegielni niewiasty też pracowały... I między innymi zupełnie przypadkowo zapoznałem Hankę Miczun, czy Górczyn, jak pan ją zna? Pan ją zna, był pan, ma pan relację z Dolnego Brzegu?... Górczyn obecnie, a przedtem Miczun. Czy pan miał z nią kontakt?

– Myśmy wymienili listy. Ale wybieramy się...

[...]

Kiedy zacząłem pisać, zacząłem zbierać materiały, przypominać sobie, z takich właśnie zapisków, to co przyszło do głowy, później trzeba było to uporządkować – coś tam zaczęło powstawać. Zarzuciłem to i teraz to już dla mnie jak bajka, książka przeczytana w młodości. To wszystko za mgłą. Zostało tylko raczej w głowie, nie można powiedzieć, że

jakieś przyjemne rzeczy, ale na pewno odbarwione od tej tragedii, którą przeszliśmy. Nawet byłem w jakimś towarzystwie na spotkaniu, coś opowiadałem...

— A jak pański stosunek — zapytanie takie — czy ta nienawiść w dalszym ciągu...?

— Nie — mówię — ja to już jakoś traktuję jako jedną z wielkich przygód, które się przechodzi w życiu.

Bardzo jakoś tak spojrzeli się na mnie, z lewego oka, że ja potrafię tak przebaczać. Najbardziej straszne kolory zaczynają być bardzo przyjemnymi kolorami — tak i tutaj wychodzi. I teraz, kiedy ja właśnie dostałem od pana to do przeczytania, to zaczynają chodzić te myśli i przypomina się: to taki fakt, to taki fakt. O, na przykład, o pomniku. Jest pomnik, jest, pies go drapał. Ale przypomniało się jako ciekawostka. Ponieważ zbieracie ciekawostki, więc jako ciekawostkę to potraktowałem.

— A czy był okres po powrocie, kiedy te wspomnienia obozowe były uciążliwe?

O tak. Ja powiedziałem, że my — nie wiem, czy wszyscy, ale przypuszczam, że wszyscy, tylko może jedni bardziej byli naciskani przez ówczesne władze Urzędu Bezpieczeństwa, drudzy może mniej. Dlaczego — dlatego, że my żeśmy stamtąd wyjechali, to była odwilż. A u nas w dalszym ciągu tu ten reżim panował. Jesteście młodymi ludźmi i nie orientujecie się, ale tu w dalszym ciągu ludzi sądzono, ludzi zabijano. A my żeśmy tu naraz wrócili. Wypełniamy ankiety i piszemy w ankiecie ośmiostronicowej bez przerwy: „AK”. No bo co ja innego miałem robić, jak nie pisać, że „AK” i „ZSRR”. Napisano się „lagier”, to znowu źle, znowu jakiś przestępca, znowu dochodzenie...

— I były momenty, że się odczuwało żal, że się tutaj wróciło? Takie momenty były? Myśli, że „tam było lepiej”...

Eee, tak, jak ja opowiadałem wczoraj, to blefowałem, dlatego, żeby przyjechać do domu rodzinnego, do Warszawy. W żadnym wypadku nie chciało mi się wyjechać gdzieś do Dolnego Brzegu, gdzie są jakieś azoty czy do kopalni, żeby [...] węgla. Ja czułem się związany z Warszawą i chciałem wrócić do tej Warszawy. Nie chciałem się pogodzić, żeby mnie wysłali na Śląsk. I tak jak powiedziałem, blefowałem:

— To wysyłajcie mnie.

To właśnie ten tupet nabyty przez 10 lat pobytu tam. To doświadczenie życiowe.

Ale ciężko było. Ja jak poszedłem pierwsze dni do pracy. Miałem akcent rosyjski, zaciągałem, słowa rosyjskie wtrącałem i w pracy, gdzie mnie skierowano wśród moich przyszłych kolegów, bardzo serdecznych, czułem szklaną szybę pomiędzy nami. Jak ja się zjawiałem w pokoju, to oni przestawali mówić czy zmieniali temat... No bo co: skąd przybyłem? Przyjechałem do kraju w waciakach. Nic nie miałem. Jak tylko wróciłem do domu, jeden i drugi szwagier — mniej więcej mojej postury — pokazał w szafie:

— Wybieraj sobie, co chcesz. Dokąd sobie nie kupisz, to będziesz chodził w tym.

Drugi tak samo postąpił, no bo trudno się poruszać. Jak zaznaczyłem, dostałem pensję 620 złotych. Wtenczas oczywiście inaczej te pieniądze były liczone, ale dla zorientowania mogę wam powiedzieć, że za pierwszą pensję, 620 złotych, kupiłem sobie marynerkę welwetową — do końca życia będę pamiętał — spodnie i pantofle, półbuciki. Pantofle były na kartki. Dostałem kartkę, nie wiem od kogo, ktoś dał mnie. Jak wróciłem i były takie spotkania rodzinne, masa odwiedzin, to każdy przychodził do mnie z jakimś tam prezentem. Ale nie zapomnę właśnie pierwszego zakupu, który zrobiłem. I jeszcze zostało mi się. Opłaciłem z tego bilet miesięczny i zostało mnie się na papierosy, parę groszy, żeby było w kieszeni. To za 620 złotych.

I ci panowie, ci moi przyszli koledzy, później naprawdę serdeczni ludzie, zaczęli tam w ironiczny sposób... Jeśli któryś z tych szwagrów moich — coś sobie wybrałem, to nie wybierałem jakiegoś łacha, tylko jakieś przyzwoite. Mówi:

— Nie krępuj się. Wybieraj. Oddasz, a jak nie oddasz, to też...

Więc do tej pracy poszedłem przyzwoicie ubrany. I oni zaczęli podejrzewać po prostu, że przychodzi gość za 620 złotych, wrócił z Rosji, kaleczy język polski, akcent rosyjski... I przychodzi za 620 złotych ubrany elegancko — znaczy coś nie tak. I nie wiem, dokąd by sprawa się nie ciągnęła, aż któregoś dnia — ja pracowałem na Pradze, my żeśmy mieli budowę na Pradze, a mieszkaliśmy na Woli — i jeden z kolegów, też mieszkał na Woli — Jurek Przybysz się nazywał — jechaliśmy tramwajem. I tramwaj się zepsuł. Tramwaj się zepsuł na Moście Śląsko-Dąbrowskim, ja go ciągle nazywałem bardzo długo Mostem Kierbedzia, i szliśmy pieszo. Gdzieś chyba w okolicy sądów ten Jurek mówi:

— Niech pan idzie ze mną, tu jest kawiarnia naprzeciwko sądu, to napijemy się, bo mnie się pić chce.

Poszliśmy. I tu nastąpiło jakieś takie może zbliżenie.

— W jaki sposób pan wrócił? Czy pan tam mieszkał?

Coś się zapytał. Ja stosunkowo szybko opowiedziałem, później my wypiliśmy tą herbatę (w tym czasie jeszcze się kawy tak nie piło), poszliśmy dalej i kiedy żeśmy się roztawali, to on mówi tak do mnie:

— Proszę pana, jutro niech pan przyjedzie do pracy, nie na 7, tylko gdzieś na godzinę 9.

— No jak to? A pan kto jest, że pan mnie każe tak późno przyjechać, spóźnić się?

Mówi:

— Niech pan przyjedzie dla pana dobra. Zobacz pan, co to będzie i jak to będzie.

My żeśmy jeszcze poszli wieczorem, jak ja opowiedziałem w domu tę historię — bo mnie było bardzo źle, że mnie tam tak traktowali. Opowiedziałem, że ja z tym panem szedłem piesze i ja opowiedziałem. I mama mówi:

— Tadeusz, w takim razie jedziemy do Barbary.

Znaczy do mojej siostry, do tego, który mnie zaprotegował do wodociągów. Ja jadę i opowiedziałem o tym.

Przedtem też już przyjeżdżałem i mówiłem, że mnie tak traktują.

— Nie martw się. Wciągniesz się. Wszystko dobrze będzie.

Ja się przestraszyłem, że odkryłem to swoje — ponieważ ja podpisywałem dziesiątki, dziesiątki deklaracji, że będę

milczał, że to jest tajemnica państwowa, bo „będzie źle, jak wyjawię to”... Więc szwagier wziął za telefon, zadzwonił (a to już w tym czasie były telefony) do swojego kolegi, bo akurat tak się złożyło, że nie znał tego Przybysza Jurka. Ale zadzwonił do kierownika jakiegoś, którego on znał. Mówi:

– Kto to jest Jurek?

– A to jest bardzo przyzwoity człowiek, poważny, można mu wierzyć.

I tak dalej.

– Dobry człowiek – mówi – nie bój się. Jutro przyjedź na 9. Zobaczymy, co to będzie.

Jak ja przyjechałem na 9, to zupełnie inna atmosfera. Bo dam między innymi taki przykład: potrzebowałem coś liczyć; to liczyłem, dodawałem w jakieś kolumny i tak dalej. Ktoś się patrzy tam spod oka, mówi:

– Co pan tak liczy? Tu stoi maszyna.

A maszyna, taki kręciołek, ~~wy nie znacie, w każdym bądź razie już~~ sumator, ręczny, nie elektryczny, tam się kręciło – w każdym razie ja tego nie znałem. Do 39 roku i w czasie okupacji tego nie było. Więc ja mówię:

– Nie. Tak mnie lepiej będzie.

A ja po prostu nie umiałem na tym liczyć. I jak się zwróciłem, żeby mnie ktoś pokazał, to on odpowiedział:

– No co, przyjechał pan z takiego kraju, czy rajy i nie umie pan na maszynie liczyć?

No to mnie, jakby ktoś... Sami rozumiecie, jak ja się czułem.

A po tym – zupełnie inna atmosfera. Tak jak bym się nowo narodził, zupełnie do innego domu wszedł, gdzie wszyscy są jedną, wielką rodziną. „Panie Tadeuszu” – wcześniej wszyscy oficjalnie, a teraz „panie Tadeuszu”... I czuję – koniec dnia się zbliża – jakiś tam szumek był. Czas wyjścia, to ja się ubieram, a ten Jurek podchodzi do mnie:

– Panie Tadeuszu, pan dzisiaj zostaje. Proszę nie wychodzić.

– Ale dlaczego?

– Bo zebranie będzie. A na zebraniu każdy musi być.

Jak tylko ta 15 godzina, wiadomo, że „klasa robotnicza” nie przyjdzie – wchodzimy do pokoju kierownika, otwiera szafę, a tam kielbasa na półce, pół litra.

– No, na pańską cześć. Przyjmujemy pana.

Znaczy, przyjęcie mnie do grupy. Później mnie powiedzieli, że był taki zwyczaj, że ten co wchodził do grupy, to stawał. Ale oni zorientowali się, z jakich ja warunków przyszedłem... No i od tej pory rzeczywiście bardzo mnie pomagali. Ja stosunkowo bardzo szybko awansowałem tam. Pensja mnie podwójnie wzrosła. I to najlepszy dowód, że dobrze się czułem, bo do 81 od 54 roku pracowałem w jednym przedsiębiorstwie. A to się nieczęsto zdarza.

– A mógłby Pan opowiedzieć o tym, o narkotyzowaniu? Jak to wyglądało?

Oczywiście, że mogę. W obozie było bardzo trudno zdobyć herbatę. Ja właściwie nie wiedziałem, stosunkowo w swoim życiu nie piłem kawy, nie piłem herbaty. Znaczy piłem na pewno herbatę w domu, kawę to piłem tylko z mlekiem w domu, na śniadanie mama przyrządzała. Do 39 roku do kawiarni nie chodziłem, bo miałem wtenczas 17 lat i mało tego: chodziłem w mundurze, bo szkoły średnie nosiły mundury, mundur był obowiązkowy i nie mogłem wparadować w mundurze do jakiegoś lokalu.

Zresztą nas nie stać było na to. Do 39 roku nie było w mojej rodzinie tak, jak teraz, że wyznaczyliśmy synowi czy wasi rodzice wam wyznaczyli pensję miesięczną. 100 złotych czy 50 złotych, czy 500, czy teraz kilkaset tysięcy złotych, bo też słyszałem. Wtenczas zupełnie inaczej było. Rodzice mnie zapewнили ubranie, jedzenie, bilet do szkoły, opłacone śniadania w szkole, zeszyty, i wszystko – może miałem 20 groszy, może nie miałem. Jeśli chciałem zdobyć jakieś lewe pieniądze, to, proszę sobie wyobrazić: od ulicy Odrowąża (to jest przy Cmentarzu Bródnowskim, chodziłem tam do gimnazjum pułkownika Leopolda Lisa – Kuli) szedłem pieszo (a mieszkaliśmy w tym czasie, nie wiem czy wiecie, gdzie jest przy ulicy Karolkowej kościół redemptorystów, mieszkałem na trzecim rogu: na jednym jest kościół, na drugim jest dom tego doktora, który z dziećmi poszedł do getta żydowskiego, Korczaka, a następny róg, Krochmalnej i Karolkowej, to była moja kamienica) i ja potrafiłem za 15 groszy z Bródna iść pieszo, żeby zdobyć 15 groszy. A co sobą 15 groszy przedstawiało? W „Domu Żołnierza” było kino, naprzeciwko szpitala Przemienienia Pańskiego na Pradze, naprzeciwko Ogrodu Zoologicznego – za 15 groszy szedłem na dwa filmy. Jeden o miłości, drugi kowbojski. To kosztowało 15 groszy. Jaka wartość, rozumiecie. Oczywiście o tym ojciec nie wiedział ani matka, bo bym miał straszną burę.

Ja chodziłem do drugiej klasy gimnazjum, a chyba ze 2 czy 3 lata prosiłem ojca, żeby mnie rower kupił. W domu się bardzo dobrze powodziło, ale w tym czasie rodzice dom budowali. A teraz mój wnuk ma 8 lat i już trzeci rower. Więc zupełnie czasy się zmieniły.

Wracam do tej herbaty. Słyszałem, że tam ktoś kombinuje herbatę. No i w końcu się dowiedziałem. Jak się okazuje, była część ludzi, która się narkotyzowała tą herbatą. Nazywało się to *czyfir*. A jak to wygląda? W Rosji herbata jest w paczuszkach 10 – gramowych. taką paczkę tej herbaty na kubek czy na szklankę, zalewają gorącą i z tego powstaje – zresztą ja mogę zrobić taką historię – gęsta, czarna ciecz.

Przed naszym wyjazdem, przed strajkami, kiedy już można było kupić, miało się kontakt z wolnymi, ta herbata zaczęła płynąć strumieniami do obozu. Ja patrzę się, skąd się dzieje, że z jakimś nabożeństwem siedzą i piją tą herbatę, po wypiciu tej herbaty oczy w ślup, zaczynają jakieś płasy, jakieś majaki wyprawiać. I kiedyś dali mnie spróbować. Ja spróbowałem tego *czyfiru* i jak się okazuje, to bardzo wciąga. I dlatego się zapytałem, między innymi, czy nie mocniejszą herbatę zrobić. I nie radzę tego robić, dlatego, że niebezpieczna sprawa. Wśród nas w tej Połmie było bardzo wielu młodych ludzi, którzy pili ten *czyfir*. I później, nie wiem, czy oni się odzwyczaili, bo trzeba mieć silną

wolę, żeby z tego wyjść. Tak samo, jak od papierosów się odzwyczajaić. Ciężko walczyłem, ja też paliłem, ale jakoś to zwyciężyłem.

— Czy to powodowało halucynacje?

Tak, oczywiście. Ja nigdy nie przyjmowałem narkotyków, ale mam kolegę, który żyje, który... Wy tylko Norylskiem się zajmujecie, tak?

— Nie.

Ale u niego już były. On wrócił z Kołomy. Spotkaliśmy się w Poćmie.

— Jakie nazwisko?

Siemiński Janusz. Zresztą w „Karcie” były jego wspomnienia. On pił ten *czyfir* i jego bardzo dużo kosztowało, żeby to przełamać, żeby to zwyciężyć. Ile on miał zawałów serca, to Bóg go raczy wiedzieć. Nawet śmiejemy się, że będzie nieśmiertelny, bo, teraz jakoś rzadziej, ale był okres, że jeden po drugim następowały zawały. Jakoś go odratowywali. Właśnie przyczyna tego *czyfiru*, tego narkotyzowania.

— On działał jakoś na serce?

Chyba tak. Trudno mnie powiedzieć, ale na coś działał, to widać było. Samo przygotowanie do parzenia tej herbaty, tego *czyfiru*, to już wprowadzało ich w jakiś nastrój podniecenia. Aż się trzęśli, jak pili to. I później wszystko: oczy jakieś rozszerzone, błędne, i tak dalej.

— I Pana w Poćmie poczęstowano czy w Norylsku?

Chyba w Norylsku, tylko mnie jakoś tak nie wzięło. Chyba na ten temat rozmawiałem z panem Sikorą, o tym *czyfirze*. On mówi:

— Machnij ręką na to. Nie przyzwyczajaj się. Po co ci to? Na co ci to? — mówi — Lepiej buteleczkę wody kolońskiej wypić.

— A to też stosowano?

Oczywiście, że stosowano.

— W Norylsku też?

W Norylsku nie. W żadnym wypadku. My jak wracaliśmy do kraju z Krasnojarska, mieliśmy pieniądze. Pociąg się zatrzymywał na mijankach, na bocznicach kolejowych. To były osady, więc zawsze — nie wiem, jak w innych wagonach było — w naszym wagonie my żeśmy się składali, i ktoś wyskakiwał. Pytaliśmy się komendanta, jak długo będziemy stali, dwie godziny czy godzinę. I któryś tam brał pieniądze, czy dwóch wyskakiwało i biegło po zaopatrzenie. I zawsze przynosili wódkę.

My żeśmy pili, dużo pili w tej drodze powrotnej. I chyba byliśmy w Nowosybirsku, tak mnie się wydaje. W Nowosybirsku stoimy na stacji. pociąg akurat zatrzymał się pod tymi pompami, które uzupełniają wodę do lokomotywy, więc włączyliśmy pompę, zaczęliśmy się myć do pasa. Tu leci jakiś kolejarz, zaczyna przeklinać, że my tę wodę puściliśmy. Patrzą się na nas, myśleli, że wojsko jedzie. No bo o wyszli ci wartownicy, pilnują pociągu, my wszyscy w krótkich majtkach. A pobiegli po zaopatrzenie, tak jak powiedziałem. Jeden czy dwóch ich wraca:

— Wódki nie ma. Zabrakło wódki. Nie ma wódki.

A wartownicy korzystali od nas, no bo my żeśmy mieli pieniądze.

— *Riebiata* — mówią — po co wódka? Lepszy jest *aqua de cologne*, znaczy woda kolońska, bo to na spirytusie, czysty spirytus. A zapach jaki...

— No to dawaj po tę wodę kolońską. Popróbujemy.

No i poszedł.

— Woda kolońska to będzie — mówi.

I rzeczywiście, zamiast wódki to całe kartony tej wody kolońskiej przynieśli. Odrażające jest picie, znaczy rzuca człowiekiem — a skutki takie same. Najlepsze, jak później po każdym pić odbija się różami albo bzem, i tak 24 godziny...

— Musiało pachnieć w tym całym wagonie.

Oczywiście, że każdy z nas pachniał, bo parował przecież, pocił się.

Jak stawaliśmy na bocznicach, to sprzedawaliśmy rzeczy, które mieliśmy: waciaki albo spodnie albo prześcieradło... Zawsze gdzieś się poszło i shandlowało. Jeśli na przykład waciak kosztował założyliśmy 20 rubli, to myśmy go sprzedawali za 10 rubli, aby tylko 10 rubli zdobyć. W tym czasie 10 rubli to było bardzo dużo. A po iluś godzinach szło się do komendanta transportu, że „ukradli waciak, nie mam waciaka.” I on musiał wypisywać, starać się, żeby swego „podopiecznego” ubrać.

Przypomniałem sobie, że pan [M.Dobrowolski] pisał o śledziach, które w beczkach zrzucali. Ja nie przypominam sobie, z którym... Nas bardzo dobrze karmili, jak jechaliśmy do kraju. Dawali nam bardzo dużo ryb. Właśnie wtenczas, kiedy jechaliśmy z Poćmy do Warszawy, to dawano nam takiego suszonego i solonego — zresztą to bardzo dobre było jedzenie — łososia. Łosoś, myśmy nazywali *krasna ryba* czy coś takiego. Codziennie dorzucali, my żeśmy tego nie zjadali. Więc w pewnym momencie, jak dojeżdżaliśmy do Moskwy, to komendant chodził i prosił, żeby zrobić porządek, bo może być inspekcja pociągu. Żeby nie było zastrzeżeń.

— A za te wszystkie pokradzione rzeczy, co wam pokradli, to ja pójdę do więzienia, bo nie będę mógł się rozliczyć — mówił — uważajcie, żeby wam nie kradli.

On się chyba orientował, co my robiliśmy. I rzeczywiście tych skrzyń było bardzo dużo. I w pewnym momencie —

już dojeżdżamy do Moskwy — któremuś przyszło do głowy, żeby te skrzynie wyrzucić z wagonów. To chyba ja powiedziałem:

— Słuchajcie, dajcie spokój. Przecież tu, w polu wyrzucimy, to się zmarnuje, nikt tego nie znajdzie. Wiedziemy do miasta, gdzie staniemy i ludziom to rozdać.

I pociąg nasz się zatrzymał w Moskwie na jakiejś dużej stacji rozrządowej, gdzie było dziesiątki torów. Gdzieś tam kilkaset metrów dalej były bloki mieszkalne. Ja mówię:

— Wiecie co, który idzie ze mną? Bierzymy po dwa wiadra tych ryb. Pójdziemy do tych bloków. Oddamy tym ludziom i niech przyjdą, zabierają.

I rzeczywiście my nałożyliśmy tej ryby. Kolega — nie wiem kto to był — wziął dwa wiadra, ja wziąłem, Poszliśmy do tych bloków. Spotykamy jakąś kobiecinę i pytamy się, czy ona chce ryby. Oczywiście po rosyjsku. Ona się patrzy na nas.

— A ile wy za to chcecie? *Skolko to stoi?*

My od razu zorientowaliśmy się, że — nie wiem, czy po 5 rubli czy po 2 ruble, chyba my po 5 rubli wiadro chcieliśmy. Więc on się obejrzała dookoła i mówi:

— Chodźcie z nami.

Dochodząc do bloków jeden do drugiego mówi:

— Co tu się dzieje?

W każdym oknie — to były chyba bloki czteropiętrowe — jedna szyba wybita i wystaje rura. Rura i okopcona ściana. Wyżej znowu rura i okopcona. Co to jest? Ona wprowadza nas do mieszkania. Jak się okazuje, to wspólne lokale, każdy ma swój pokój. My żeśmy weszli. W każdym tym stoi piecyk i rura wyprowadzona przez okno. Rzecz się dzieje w Moskwie. W jakiejś dzielnicy podmoskiewskiej to było chyba. Zamyka drzwi. Rozejrzała się. Tam stało takie żelazne łóżko. Jakieś skrzynki drewniane nakryte prześcieradłem, to było jak obrus. I więcej chyba nic nie było oprócz tego piecyka. Jakaś półeczka ze skrzynek zrobiona. Taką kapę — rozejrzała się — z łóżka zdjęła i w tę kapę te cztery wiadra nasypała tej ryby. Zawiązała i po łóżko posunęła. Zapłaciła nam te pieniądze i my wychodzimy. Pyta się czy więcej nie mamy.

— No, zobaczymy.

Wychodzimy z domu. Nikt nas nie widział, nikt nas nie słyszał. Jak wychodziliśmy z domu, to dwie kobiety do nas podchodzą i pytają się, czy my jeszcze mamy. Żebyśmy przynieśli. I my rzeczywiście żeśmy tamtą rybę handlowaliśmy i handlowaliśmy. I znowu pieniądze się pojawiły...

Opowiedziałem o mieszkaniu moskiewskim. Teraz mnie się przypomniało mieszkanie w kolchozie na Syberii. Nie wiem, to było kilkadziesiąt czy kilkaset kilometrów pomiędzy Krasnojarskiem a Nowosybirskiem. Mieliśmy postój na boczniczy kolejowej. Nam powiedzieli, że będziemy tam 5 czy 6 godzin stali. Ja i jeszcze paru kolegów poszliśmy po prostu tak przejść się. Tak w tajgę. To znaczy nie w tą prawdziwą tajgę, tylko taki młodniak, jakieś olbrzymie krzaki. Poszliśmy tą drogą — trudno mnie powiedzieć, ile myśmy przeszli, może 4 może 5 kilometrów — i napotkaliśmy kolchoz. I znowu zaskoczenie nieprzeciętne, dlatego, że w tym kolchozie zobaczyliśmy straszną biedę. My w obozie, w barakach, mieliśmy przyzwyczajenie, jak ci ludzie na wolności. To była kurna chata, klepisko. Stół to kołki wbite w klepisko i jakiś blat z nieheblowanych czy oheblowanych desek, ale nie tak dokładnie, tylko przetartych na pile. Nikogo nie było w domu, bo myśmy zajrzeli, widocznie wszyscy byli w pracy. Przy jednej nodze tego stołu był uwiązany za nogę prosiak, a przy drugim dziecko. Kuchnia jakaś gliniana. ale elektryczność i kolchoźnik. A tu podłoga polepa i meble jakieś, wyrko czy łóżko, zbite z desek i te nogi wbite w podłogę, w tą ziemię. Takie skrajności.

Jaka w tym czasie była bieda w Związku Radzieckim — kiedy zatrzymywaliśmy się na stacjach, na bocznicach kolejowych, dzieci przychodziły i za *stakan* jagody chcieli *kuszok* chleba. Nie chciał cukierka, nie chciał pieniędzy, tylko:

— *Dziadzia, daj kuszok chlebuszka.*

Za tę szklankę czy kubek, bo to *stakan* się nazywało, chciał *kuszeczek* chleba.

— Wspominał Pan, że po powrocie pan Pisarkiewicz głośno mówił i że wy wszyscy byliście tacy...

Rozluźnieni.

— Jacy byliście?

Pan młody człowiek, nie ma jeszcze łączności z dziećmi z przedszkola czy ze szkoły podstawowej. My na przykład, starsi ludzie, wiemy, że jak przyjdzie wnuk, który chodzi do szkoły, to mówi bardzo głośno. I my tak samo. Nie dlatego, że byliśmy dziećmi. My byliśmy ludźmi dorosłymi, tylko my żeśmy nie byli skrupowani. My żeśmy się oduczyli być w pokoju, być w mieszkaniu, być między ludźmi kulturalnymi. Żeśmy mówili głośno. Ja na przykład, kiedy znalazłem się w domu rodzinnym, to miałem trudności z opowiadaniem, bo bardzo przeklinałem po rusku, bardzo przeklinałem. Dlatego, że w Rosji w tych warunkach ten kto nie przeklinał był traktowany jak taki *dochadiaga*, właściwie drugiego gatunku człowiek. Ja pracowałem, ja miałem pod sobą robotników i trzeba było jakoś inaczej postępować. I właśnie przez te przekleństwa wywierało się, podkreślało się swój prestiż. Zresztą nie jest inaczej. Ja już teraz 10 lat jestem na emeryturze, ale jak byłem na budowie, to jeśli do klasy robotniczej odezwało się „panie Królikowski” czy „panie Strzałkowski, niech pan łaskawie weźmie to i zrobi” — to się spojrział jak na głupca. A jak powiedziałem mu „kurwa twoja mać”, to zrozumiał:

— Niech się pan nie denerwuje. Już idę.

Taka mentalność i my żeśmy się tak zachowywali.

— A czy byli wśród Polaków w obozie tacy, którzy nie przeklinali?

Ksiądz Ciszek nie przeklinał. Pan Władysław Sikora na pewno nie przeklinał. My, młodzi ludzie byliśmy bardzo chłonni, myśmy bezpośrednio z tą czernią ludzką się zetknęli. Na przykład pan Pol. On siedział w aptece. To zacny siwy pan i do niego to nie docierało...

— A czy oni byli przez to uważani za gorszych, czy wyśmiewani?

Nie, nie. W żadnym wypadku nie byli. Na przykład pan Sikora pracował chyba jako główny energetyk: stanowisko, posada, wiadomości... On był inżynierem. A zupełnie inaczej podchodzili do mnie, który zaczynał od niczego.

Jacy my byliśmy to może powiem zaraz: może mnie zrozumiecie, że ja po powrocie do domu uczyłem się jeść nożem i widelcem. Ja zpomniałem, jak się trzyma... Tego się nie zapomina, ale siostra jedna, druga zwracała mnie uwagę:

— Tadeusz, musisz jeść wolniej.

Bo ja do tej pory bardzo szybko jem. Po prostu z tamtych czasów, kiedy człowiekowi wrywano z ręki, jeśli nie zjadłeś... W krew mnie weszło szybkie jedzenie. Teraz szybko jem, a przedtem, z początku to w ogóle ja zmiatałem, jak dziki człowiek z buszu.

— Czy po powrocie miał Pan jakieś inne nawyki, uporczywe myśli?

Tak, na pewno. Pierwsza rzecz, to nie mogłem się przyzwyczać do tapczanu. 10 lat na deskach, i naraz kładą mnie w domu na tapczan, w miękkie poduszki, w jakieś pledy, kołdry czy coś. Rzeczy, do których trudno się przyzwyczać. Trudno mnie się bardzo było przyzwyczać do krawatu. Wiele takich rzeczy, o których się zapomniało. Uczyłem się manier. Uczono mnie, bo jakoś to poszło w zapomnienie. Siostry mnie przywracały do życia towarzyskiego. Tańczyć umiałem, ale jakieś nie mogłem się zmusić do tańca. Siostry mnie zmusiły, żebym zaczął tańczyć, że jakoś, że trzeba...

— Czy pamięta Pan przeżycia po wypiciu tego czyfiru, którym Pana częstowano?

To ja już panu mówiłem, że człowiek był w takim siódmym niebie, jakiś taki bardzo fruujący. Zresztą ten, kto pije mocną herbatę, to czuje się taki lekki. Jeśli pan jest zmęczony i napije się mocnej kawy, to też zmęczenie mija. Czy nie? Jak pan napije się szklankę czy filiżankę mocnej kawy, czuje pan nawrót sił? A jak by pan jeszcze dwie mocniejsze wypił, też by pan lekki się zrobił. A już jak pan coś takiego super mocnego wypije, to zaczyna człowiek fruwać.

— Czy w obozie wy, młodzi jakoś musieliście troszczyć się o tych starszych: księdza Ciszka, o innych, którym jak Pan mówił trudno było przystosować się do życia obozowego?

Ksiądz Ciszek był przykładem dla nas wszystkich. I między innymi chyba dlatego będzie beatyfikacja księdza Ciszka. Nie wiem, czy wiecie o tym, czy nie. My żeśmy pisali do Rzymu i tutaj, do zakonu jezuitów jako świadkowie, żeśmy współżyli z księdzem Ciszkiem. On nas podtrzymywał na duchu. Człowiek, który bez przerwy kierowany był do najgorszej, najcięższej pracy. Po jakimś czasie któryś z możliwych w obozie, na przykład taki jak Władek Sikorski, ja nie wiem o tym, ale na pewno się przyczyniał do tego, że z tej strasznej roboty przeniesiony był na lżejszą pracę. Dokąd się nie dowiedział oper...

O księdzu Ciszku powiedziałem. To był człowiek prawie święty, tak, że jego ta świętość i powołanie jakoś trzymało.

— Dogadywaliście się z nim po polsku?

Oczywiście.

— I Pan spowiadając się, też po polsku?

Też po polsku. On wspaniale mówił po polsku. To był Polak. Miał obywatelstwo amerykańskie. Bodaj urodził się w Detroit czy coś. Tak mi się wydaje.

Ale byli ludzie, którzy się załamywali rzeczywiście. Mam między innymi najlepszy dowód — ten Pisarkiewicz, który był tym *samorubem*.

— A on był z wami w Norylsku?

Nie, nie. W Połmie żeśmy się spotkali.

Byli ludzie, którzy pracowali na tych ciężkich robotach w *Gorstroju*, którzy nie wykonywali norm, którym my żeśmy pomagali. To była taka niepisana umowa. No bo my na hucie szklanej wypełnialiśmy te procenty, wypełnialiśmy normy i otrzymywaliśmy największe normy żywienia. I po jakimś tam okresie, po iluś tam latach, to po prostu człowiek się przyzwyczał do tej normy. I ta norma wystarczała. Mało, jeszcze się zostawało. Więc oddawało się tym słabszym Polakom, dla których ten kęs chleba miał bardzo wielką wartość.

— Czy w Norylsku była zbiórka pieniędzy dla kobiet — Polek, dla słabszych Polaków?

Skąd pieniądze?

— Tuż przed strajkiem.

Nikt się nie zwracał.

— Ksiądz Ciszek miał wielki autorytet w polskiej grupie. Ale czy to wykraczało poza samych Polaków?

Tak. Na pewno. Najlepszy dowód, że ksiądz Ciszek odprawiał mszę przed pójściem na roboty, gdzie była brygada. A brygada nie składała się przecież z samych Polaków. W każdej brygadzie mógł być jeden lub dwóch Polaków, ale nigdy nie wszyscy. Że ta brygada jakoś honorowała to jego skupienie. Na pewno w każdej brygadzie był donosiciel, konfident, bo po jakimś czasie ksiądz Ciszek brygady był zwolniony, przenoszony gdzie indziej. W swojej książce opisuje, że wiele razy mu zwracano uwagę, że zginie, że przepadnie, jak nie zaniecha tych czynności jako ksiądz.

— A czy wśród Polaków były podejrzenia, że ktoś jest donosicielem?

Oczywiście. Na przykład Wrona.

— Poza Wrona...

Ja te nazwiska, co pan wymienił, tych księży, to tak one są bardzo znajome. Ale ja jakoś sobie nie przypominam tych ludzi.

— A Pan wspomniał o jakimś księdzu, który podobno był donosicielem?

No był, ale nie wiem, który. Wymienił pan 3 czy 4 nazwiska. Któryś z Krakowa. Jakiś był ksiądz z Krakowa, który był donosicielem. Ale to ja nie jestem pewien.

— Był w obozie Piątym?

Był w obozie Piątym.

— Czy był podejrzewany, czy był na niego wyrok?

Myśmy nie wiedzieli o tym, czy był wydany wyrok. Wiedzieliśmy, wieść przyniosła, że zginął, że został zarąbany. Ale kto go zabił?

— Ten ksiądz?

Nie, nie. Tylko mówię w ogóle, bo przecież zabijano i Ukraińców, i Niemców, tam było bardzo wiele tych zabójstw wykonanych.

— Kiedy się mniej więcej zaczęły te zabójstwa?

Zabójstwa to były czas. Z początku to były porachunki między *blatnymi*, to znaczy między bandytami, kryminalistami. Jeden do drugiego miał jakieś porachunki osobiste. Sami siebie zabijali. Co i raz coś tam wyskakiwało.

— A morderstwa osób podejrzanych, donosicieli?

O to donosicielstwo to już chyba przed tymi strajkami to się zaczęło, kiedy Wronę zabili.

— A była też różnica w sposobie mordowania? Czy donosicieli w jakiś szczególny sposób mordowano?

Nam nie pokazywali tych ludzi, których mordowano. To znaczy widział ten, kto był świadkiem morderstwa. Żaden świadek się nie przyznał do tego, że był świadkiem morderstwa. Nikt nie widział, kto zabił, ja słyszałem tylko z opowiadania, w jaki sposób zginął Sikorski. Ale czy tak zginął, czy nie? Z odrąbaną czy porąbaną głową znalazł się właśnie w tym głębokim wykopie. Wrzucono go tam — ale na tym koniec. Już ciała nikt nie widział, bo momentalnie dowództwo obozowe zabezpieczyło.

Ja z kolei widziałem — chyba w 53 roku czy 52, nie przypominam sobie dokładnie — do obozu przywieźli *starowierów*. Bardzo ciekawa historia. Byli to ludzie, którzy nie wiedzieli, że jest Związek Radziecki, nie wiedzieli, że to nie jest car... Nie wiem skąd ja się dowiedziałem o tym, w każdym bądź razie wiem, że jakieś pomiary robili helikopterami czy samolotami nad tajgą i w tej tajdze odkryli jakąś osadę *starowierów*. To jakiś odłam wiary prawosławnej — nie bardzo wiem na czym to polega — chyba związane coś z prawosławiem. I oni tam zrobili jakąś ekspedycję i chcieli ich nawrócić na wiarę bolszewicką, czy jak to powiedzieć. Tam bodaj nastąpił bunt. Wszystkich zwinięto. I jakąś grupkę przywieziono do nas, do obozu. Pierwsza historia, to im brody ogolili. Tam każdy miał brodę. I oni wszyscy — chyba wszyscy — popełnili samobójstwo. Co jakiś czas któryś się rzucił na te druty. A rzucenie się druty to znaczy „chciał robić ucieczkę”, żołnierz na warcie, na wieżycze strzelał i zabijał. I oni tak chyba wszyscy wyginęli, co jakiś czas znowu *starowier* się rzucił...

— Dużo ich było?

Trudno mnie powiedzieć. Jakaś tam grupka była. Bo opowiadałem o Japończykach, to była potężna grupa Japończyków — oficerów z Armii Kwantuńskiej. To była duża grupka. Tutaj nie, to była mała grupka raczej.

— A jak wyglądali Japończycy? Czy oni zachowali jakiś swój rygor wewnętrzny w tej grupie?

Tak. Byli bardzo zdyscyplinowani, byli w mundurach wszyscy, ich nie ubrali w waciaki, nie ubrali w więzienne umundurowanie. Nie więzienne, bo cały Związek Radziecki w takich samych waciakach.

— Błatni nie próbowali ich rozebrać?

Nie. Oni mieszkali w oddzielnych barakach.

— A oddzielonych od reszty obozu czy w obozie?

Nie przypominam sobie, ale chyba nie. Ale chodzili zawsze zwartą grupą. Zresztą Japończycy są mali i chyba to ubranie na nas by nie wchodziło. Nam na przykład zabrali okulary — oni byli w okularach.

— Pamięta Pan jakichś konkretnych ludzi spośród nich?

Ja się dziwię, że tu opowiada [J.Mrozowski], że on miał kontakt. Oni się trzymali całkowicie oddzielnie, chociaż muszę powiedzieć, że na przykład Chińczycy — Chińczycy byli w brygadach, przeważnie byli *dniewalnymi* (*dniewalnyj* to taki pługacz w brygadzie: mył podłogę, robił porządek), albo pracowali w pralniach. Byli bardzo pracowici i bardzo koleżeńscy.

— Czy między Japończykami a innymi grupami w obozie dochodziło do jakiś konfliktów?

Nie.

— A czy była grupa w obozie oficerów radzieckich?

Oczywiście, że byli. Ja na przykład spotkałem się z ministrem — wiem, że był ministrem na Litwie do 39 roku, pełnił obowiązki ministra. Tam byli ludzie bardzo wykształceni. Między innymi w naszym obozie był w tym czasie bardzo dobry gracz w piłkę nożną, który występował w reprezentacji Związku Radzieckiego, i jego zabrali z naszego obozu na jakiś mecz. I z powrotem przyjechał, wrócił do obozu. A dostał wyrok, jak fama głosiła (ja z nim nie rozmawiałem) za to, że przegrali mecz z Norwegią. Dostał 10 lat czy coś takiego.

– A czy ta grupa oficerów radzieckich była zwarta, zorganizowana?

Nie, nie. Oni na pewno, ci wyżsi oficerowie, pełnili jakieś lepsze funkcje. Oni pracowali w biurze czy zarządzie. W zarządzie obozu też pracowali, czy może na kuchni.

– Czyli były dwa strajki w obozie Piątym i pod koniec drugiego strajku wyście, Polacy, zostali jakby odseparowani od reszty obozu. Czy to były baraki odgradzone od reszty obozu?

Tak. To były baraki odgradzone. W tych barakach przedtem byli *katorżanie*.

– To były baraki przy obozie czy stanowiły część obozu Piątego?

Część wygradzona. Jeden duży obóz, a w tym bodajże dwa baraki wygradzone. Miały taką wewnętrzną bramę.

– A co się z tymi katorżanami stało?

Nie wiem. My nie mieliśmy kontaktu z *katorżanami*. Oni nawet jak wychodzili gdzieś na robotę, to nie mogliśmy się z nimi porozumiewać.

– Opróżniono te baraki dla was specjalnie?

Tak. Dla nas, tych przygotowywanych na odjazd.

– Kiedy to mogło być? Ile dni po rozpoczęciu strajku?

To było przed strajkami. Według mnie to było przed strajkiem, oczywiście.

– A na długo przed strajkiem?

Przypuszczam, że historia się zaczęła – przecież to stosunkowo szybko się posuwało. Po śmierci Stalina zaczęły się strajki. Stalin umarł któregoś tam marca, a my żeśmy chyba na początku lipca – tak mnie się wydaje, to było lato – wyjechali z Norylska.

– To była duża grupa was, Polaków?

460 czy 400 mężczyzn i 60 kobiet, czy coś koło tego. Coś tak mnie się kręci w głowie.

– Wyście od początku byli w tych wygradzonych dwóch barakach czy tu była część tych 460 – ciu ludzi?

Mnie się wydaje, że nie. Przecież tych Polaków to zwożono z całego Norylska, ze wszystkich obozów.

– Ale zwożono właśnie tutaj, do tych dwóch baraków?

Chyba tak. Tak mnie się wydaje.

– I stąd pojechaliście do...?

Nie. Stąd nas wyprowadzono do drugiego obozu, pocięli druty i nas wyprowadzono. Tam już cały był ten obóz chyba dla nas przygotowany, tak mnie się wydaje.

– Czy z tego obozu, do którego was wyprowadzono było coś widać? Nic? On był poza miastem?

Tak. My żeśmy też mieszkali poza miastem. Szkoda, ja gdzieś szukałem nawet wczoraj, bo mam dużo pocztówek z tego Norylska. Właśnie Władysław mnie przywiózł. Chciał mnie kupić album, bo tam się spędziło 10 lat. To dla mnie taka bliska historia. Prosiłem go, no on przywiózł pocztówki. Bardzo ciekawe te pocztówki. Gdzieś wsadziłem.

– Ale na tych pocztówkach rozpoznałby Pan miejsce miejsce, gdzie był obóz?

Tak. Ja poznałem i rzeczywiście zgadza się to, taką dzielnicę miasta.

– Czy ci ludzie, którzy byli obok w obozie próbowali wdrzeć się do was?

Mówiłem, że [żołnierze] nas wyprowadzili, dlatego, że [więźniowie] chcieli nas wziąć jako zakładników.

– Ale czy robili coś w tym kierunku, czy próbowali sforsować druty do was?

Próbowali. Oczywiście. To była brama chyba nie zamknięta czy myśmy się zamknęli? Nie pamiętam dokładnie, w każdym bądź razie nas dla naszego bezpieczeństwa wojsko wyprowadziło z tej naszej części obozu.

– A czy wam powiedziano w ogóle, czemu tam jesteście? Czemu jesteście odgradzeni od reszty obozu?

My żeśmy ciągle jeszcze nie wiedzieli. Nam nieoficjalnie mówiono, że jedziemy do Polski. Cały czas nie wierzyliśmy, że jedziemy do Polski. Ja osobiście i niektórzy z moich kolegów baliśmy się, że szykują etap na Nową Ziemię. W każdy okres letni robiono komisję lekarską i wybierano ludzi silnych, zdrowych, w miarę dobrze odżywionych, których, jak fama głosiła, wysyłano na Nową Ziemię, skąd nikt nie wracał. Jako uzupełnienie.

– I co roku taki nabór był?

Co roku tak było.

– Czy Pan zna może Polaków, którzy trafili do takich transportów?

Część znałem, ale jakoś nie kojarzę.

– A dużo osób na taki transport szło?

Transport szykowano z całego Norylska.

– Ale z waszego obozu?

Trudno mnie powiedzieć. Jak brano, to wrywano tam z brygady. Oni mieli jakieś rozeznanie, kogo brać. Jeśli kogoś tam znajomy, no to się wiedziało. Przecież wszystkich ludzi z obozu się nie znało. Obóz to było małe miasteczko, 5000 czy 6000 U nas są miasteczka tej wielkości.

– A czy ludzie wiedzieli, co to jest Nowa Ziemia i że już nie wrócą?

Zdawaliśmy sobie sprawę. Człowiek, który miał trochę jaśniej w głowie wiedział, gdzie się znajduje Nowa Ziemia, że dalej na północ od Norylska, i wiedział co może go tam czekać.

– Czy chodziły jakieś plotki o tym, co się znajduje na Nowej Ziemi, jaka praca?

Nie. Skąd my mogliśmy wiedzieć. Jeśli nikt z Nowej Ziemi nie wrócił, to jak się o tym dowiedzieć?

– Jak Pan sądzi: czy gdyby się udało tej reszcie obozu przedrzeć do was, to oni mogliby wam zrobić jakąś krzywdę? Byli do was źle nastawieni?

Nie ulega wątpliwości, że oni nam zazdrościli. No bo tak półoficjalnie się mówiło, że jedziemy do kraju. Trudno nie zazdrościć, jeśli ci towarzysze niedoli odjeżdżają, a „my się zostajemy na niewiadomą”.

— Ale to była nieoficjalna wersja. Może oni się bali, że was rozwałą?

To była nieoficjalna wersja. Dopiero my żeśmy się oficjalnie dowiedzieli... Chyba całkiem oficjalnie to powiedział generał Paniukow przed załadunkiem na statek, że jedziemy do kraju, że wracamy do ojczyzny.

— Czy tamci pozostali w obozie krzyczeli do was coś, wygrażali?

Nie wiem, jak tam, ale chyba nie.

— A pamięta Pan jakichś Polaków, którzy zostali wtedy w obozie?

Oczywiście. Wszyscy zostali: Wladek Piotrowski został, Szelking został, Hania Górska została — pan się nie zetknął z panią, przecież ona chyba nie żyje...

— Ale zostawiła wspomnienia...

Acha. Później: Hanka Miczun, Marysia Tuliszevska — czy ona żyje, czy nie?

— Tak.

Nie wiadomo. Tak pan pewnie mówi. Dlaczego — dlatego, że ja jej dwa razy do roku, na Boże Narodzenie i na Wielkanoc, wysyłam życzenia — co roku dostaję od niej, a w tym roku nie mam odpowiedzi.

— Nie dalej jak inisiąc temu spotkałem się z nią...

Tak? Teraz, jeśli pojedę na wczasy w olsztyńskie, to się wybieram z nią skontaktować.

— A jak przyjęto wystąpienie Paniukowa w Dudzińcu?

Niech pan sobie wyobrazi, że pan jeszcze 5 minut temu nie wie, co z panem będzie i przyjeżdża auto, wychodzi wyższy oficer, i zwraca się do nas, że...

— Ale wyższy oficer sowieckiej władzy. Wierzyliście?

To przecież wiem. Oczywiście, że wierzyliśmy. No bo mówi, pokazuje, że na ten statek będziemy zaokrętowani czy załadowani. Przepraszał, że nie będziemy mieli takiej wygody, jaka się nam należy w dwuosobowej kajucie, że będzie nas trzy osoby. Życzy szczęśliwej podróży i przeprasza za to, że nastąpiła omyłka. No ale to sprawy już nie jego, chociaż on z tej samej formacji, z NKWD.

— A czy widzieliście ten statek na własne oczy?

Staliśmy przy statku.

— A czy była tam doczepiona jakaś barka, która potem za wami..?

Nie, jeszcze nie. Jeszcze nie było barki doczepionej.

— I nie było słychać, że w pobliżu są ci więźniowie?

Nie. Dopiero później. Nie przypominam sobie, w jaki sposób, skąd się wzięła barka. Nie wiem, ale to może dlatego, że my żeśmy byli oszołomieni komfortem kajuty, osiedleniem się... W każdym bądź razie nie mogliśmy sobie skojarzyć.

— Czy pamięta Pan jeszcze jakichś Polaków, poza panem Mrozowskim, którzy płynęli wtedy statkiem do Krasnojarska?

Pamiętam, oczywiście. Chwileczkę, bo niby by się pamięta... Był Tadek Studniarski.

— A Lewandowski był?

Lewandowski był. Widzi pan, to wynika z rozmowy. To wraca, przypomina się.

— Czy w Poćmie spotkał się Pan z Wysockim Henrykiem? A Berdowskim? A czy w Poćmie była głodówka?

Była tylko bitwa. Biliśmy się. Znaczą Polacy wyrównywali drogę Rumunom, bodajże Niemcom... Strasznie żeśmy ich stłukli.

Bo w Poćmie już było wiele narodowości. Już byli Niemcy, Rumuni, Węgrzy, Polacy. My chyba stanowiliśmy jedną z większych grup, tak mi się przynajmniej wydaje. O co poszło — bo Rumuni, chyba Rumuni, byli na kuchni i w chleborozce. Chleborozka to taka instytucja, gdzie przywożono chleb i ważono na wadze na porcje. Zorientowaliśmy się, że oni nas oszukują. I w pewnym momencie poszedł cichy rozkaz, że „Polacy zakładają wieczorem ręczniki na głowę, zdobywamy odpowiednie pały i kiedy jakaś godzina — zaczniemy łomotać Rumunów”. Dlaczego ręczniki na głowę — dlatego, żeby nie bić swojego w tym tłumie. Oni nie wiedzieli, dlaczego myśmy się tak ubrali. I żeśmy strasznie, strasznie duży łomot im sprawili. Bodajże na drugi dzień komendant, to był jakiś apel: Polacy znowu stanęli w tej chleborozce i na kuchni, zostali naznaczeni.

Ale głodówki raczej chyba nie, bo nie było po co głodować. Na co głodować, jak my żeśmy wiedzieli, że już jedziemy? Bo nie pracowaliśmy, jeździliśmy do lekarzy, zęby nam prawiano.

— W którym momencie zdjęto wam numery?

Numery zdjęto po śmierci Stalina. Ja już mówiłem, w Norylsku.

— Ale jeszcze wtedy nie byliście w oddzielnym łagrze?

Przedtem. To było jakoś, jak zaczęli płacić nam pieniądze. Coś takiego. I baraki przestano zamykać.

— Czy był ktoś w Poćmie, kto dał sygnał do tego bicia [Rumunów]?

No był. Oczywiście. Kto był, nie wiem. W każdym bądź razie ktoś, bo żeśmy zaczęli tłuc w jednym momencie. Bo tak, jeśli była bitwa pojedyncza, to byśmy na pewno przegrali, bo Rumunów, Węgrów, Niemców było na pewno więcej od nas. My grupą najsilniejszą byliśmy, ale jeśli tamci się zebrałiby razem, to też by nam okrutny łomot sprawili.

— A w Norylsku z kim żeście się...?

W Norylsku żeśmy się nie tłukli.

— Nie było żadnych konfliktów narodowościowych?

Nie.

— A Ukraińcy?

Moi drodzy: więzienie brata ludzi, bo wszyscy są w jednym nieszczęściu. Dziwna rzecz, że na przykład — tu się dowiedziałem — że byli ludzie, którzy nie wiedzieli, kiedy jest Boże Narodzenie. Ten pan [M.Dobrowolski] mówił, że nie wiedział, że jest Boże Narodzenie. Jak to nie wiedział? My żeśmy mieli w baraku kołchoźnika (kołchoźnik to takie radio, głośnik, którego nie można było nastawiać, zawsze się słuchało na okrągło Moskwy, ten kołchoźnik zawsze grał) i przecież my wiedzieliśmy, który to dzień jest. Każdy dorosły człowiek wiedział, że 25 grudnia jest Boże Narodzenie, a 24 grudnia jest Wigilia.

Gorzej było z Wielkanocą. Ale to już ksiądz Ciszek podpowiadał. On jakoś umiał wyliczać, jakoś to robił. I później wiadomo było, że my żeśmy mieli [Wielkanoc] ileś tam dni — już nie przypominam sobie ile — wcześniej jak prawosławni. A prawosławni to już wiedzieli, dlatego, że listy dostawali, jakieś paczki. To było wiadomo.

Na Boże Narodzenie, jeśli w brygadzie było 4, 5 czy iluś Polaków, to już żeśmy odkładali cukier, te jakieś obozowe smakołyki. Powiększała się grupa. Przychodzili zaprzyjaźnieni Polacy z innych brygad. I taka wspólna wigilia była. Dzieliliśmy się tym chlebem. To były bardzo nastrojowe momenty. Śpiewaliśmy kolędy. Inne narodowości szanowały te historie. Ukraińcy później mieli swoje Boże Narodzenie. W tym czasie katolicy Litwini, Niemcy też obchodzili, naturalnie w jakimś skupieniu nas obserwowali. To były bardzo wzniosłe momenty. Tak samo i Boże Narodzenie. Wiem, że w Wielkanoc, podczas naszej Wielkiej Nocy i tak samo prawosławnej jak się szło: „Cześć”, jak się znajomego spotkało czy „Dzień dobry” czy „Zdrastwujtie” — mówiono „Chrystus woskries” — „Chrystus zmartwychwstał”, takie pozdrowienia były. Te sprawy były w ukryciu. Macie najlepszy dowód — ja pokazywałem te karty imiennowe, karty na Boże Narodzenie, na Wielkanoc.

— A czy był wśród Polaków ktoś lub kilku ludzi, którzy cieszyli się największym autorytetem? Pan wspominał o księdzu Ciszku.

Ksiądz Ciszek na pewno stanowił, dla mnie na przykład był dużym autorytetem Piotrowski, Szczerbiec Mikołaj — chociaż on miał w dokumentach, przyznał mi się, że podał się za Białorusina. Każdy miał jakieś swoje coś, że w ten sposób.

— A inni jacyś?...

Był w naszej brygadzie, zdunem, Mikołaj Iwanow. Starszy pan, człowiek w okolicy 50 lat. W każdym bądź razie każdy starszy mężczyzna była dla nas autorytetem, bez względu na to, czy on jest zdun, czy inżynier, to potrafił przekazywać jakieś swoje wiadomości...

— A Mikołaja Iwanowa uważano za Polaka?

Tak.

— A czy była w obozie grupa zielonoświątkowców?

Nie wiem, co to jest nawet.

— A emigrantów z Mandżurii?

Tak. Na pewno. To byli jeszcze ludzie ze starej emigracji. Bardzo poważni, zaawansowani wiekiem już, którzy byli aresztowani po zajęciu Mandżurii przez Armię Czerwoną. Byli emigrantami z carskiej Rosji. Oni znaleźli się w naszym obozie.

— Czy oni tworzyli zorganizowaną grupę?

Nie. Tam nie było takich... Pan sobie to jakoś inaczej wyobraża, mnie trudno wytłumaczyć. Była część brygad, większość, które bardzo ciężko pracowały. Pracowały po 12 godzin. Wychodzili o godzinie 7 rano, czy nawet wcześniej, i o godzinie 19 przychodzili do obozu. To byli ludzie bardzo wyczerpani. Za czym on przyszedł, za czym on zjadł, i kładł się spać.

Ja, tak się złożyło, że pracowałem na 3 zmiany na hucie szklanej. Ci, co pracowali na przykład w tym *cechu*, na oddziale mechanicznym, pracowali na 2 zmiany. A jeśli on stał przy tokarni, to nie był zmęczony, tak jak ten, co pracował na *Gorstroju*. Cegalnia pracowała na 2 i na 3 zmiany, ale oni pracowali w zupełnie innych warunkach, jak pracownicy *Gorstroju*. Więc ci właśnie, tacy jak ja i ktoś inny, on jak wrócił z pracy po 8 godzinach (a wracało się nie po 8, bo droga, przyjscie, to trwało gdzieś koło 10 godzin), ale ja nie byłem tak zmęczony. Ja mogłem sobie pozwolić na to, żeby iść do kolegi, który pracował w biurze konstrukcyjnym — jak na przykład Mikołaj Szczerbiec — i porozmawiać sobie. Temu, który był wycieńczony, to się nie chciało. To nie było tak, jak wy sobie wyobrażacie...

— A czy były konflikty: Polacy z Polaki centralnej, tak jak Pan i Polacy z Kresów?

Raczej nie było.

— Wspomniał Pan, że „lekarze eksperymentowali, bo nikt ich nie kontrolował”...

Oczywiście, że eksperymentowali. Był taki Iwan Iwanowicz, Żyd rosyjski, prawdziwy taki Żyd, który jak przypuszczam nigdy w życiu nie był lekarzem. On w tym obozie, przez te szczeble, od jakiegoś posługacza, pielęgniara, felczera, wybił się. Wybił się nie przez naukę, tylko przez jakieś eksperymenty. Wiem, że na pewno Willi nie był lekarzem. Nawet ten, który w obozie został pielęgniarem — pielęgniarski czy pielęgniarski może człowiek przeciw uśmiercić robiąc zastrzyk nie tak, jak się robi. Kto jego nauczył? On na tych eksperymentach się nauczył. Tam liczył się tylko człowiek, bez względu na to, czy on żywy, czy on umarł. Trzeba było go odpowiednio odhaczyć, policzyć i hej. Jeśli nieboszczyków z obozu wywalili na ogólny cmentarz — tam nie było cmentarza, po prostu tak to

nazwali. Kopano gdzieś za Norylskiem. Najpierw podkładano materiał wybuchowy, wysadzano to w powietrze. Później szły spychacze, spychały tą ziemię, i tam warstwami układali. Śmiertelność była bardzo duża. Jeśli ktoś umarł w takiej izbie szpitalnej, to nie słyszałem, żeby było śledztwo, „dlaczego on umarł”. Jak umarł, to umarł — zaszywali go w worek czy kładli go nagiego do worka, później, rano zawsze, kładli warstwami na sanki, podciął konia i wywiózł. Na wartowni wziął bagneta, pokłął, sprawdził, czy żywy człowiek nie wyjeżdża na tych sankach, i poszedł.

Wyjeżdżały na przykład wagony z węglem czy z watą przemysłową, taką jaką się u nas na hucie szklanej robiło. Jak wata była załadowana na wagon, to na wartowni podciągnął parowóz wagonem wyszli strażnicy, ci *krasnopogonnicy*, mieli długie, ostre pręty — wchodził, i kłuł. Sprawdzał, czy jest tam schowany więzień czy nie. On się nie liczył z tym, że jak by był schowany, to by go nadział na ten pręt, przekłął. Tak traktowano.

— Czy słyszał Pan o doktorze Mattoszko?

Mattoszko czy Mattuszko.

— Mattoszko, ale mogło być przekreślane nazwisko...

Chyba Mattuszko. No, niech będzie. Słyszałem takie nazwisko. Nigdy z nim się nie zetknąłem.

— A o Hipolicie Suchockim albo Stanisławie Suchockim?

Też mi znane nazwisko. Może ja się z nim zetknąłem, ale za dużo było tego, żeby się w głowie pomieściło.

— Wspomniał Pan o wagonach. Czy przed strajkiem zdarzało się, że przychodziły wagony z napisami jakimś?

Właściwie to mało stosunkowo miałem do czynienia z wagonami. Dlaczego — dlatego, że gotową produkcję załadowywano na wagony, były specjalne brygady ładowaczy, *gruszczyków*. Oni mieli do czynienia z tym. My żeśmy byli na produkcji, a były specjalne brygady, które ładowały. Nie spotkałem w każdym bądź razie, nawet nie słyszałem o tym, że były jakieś hasła, jakieś napisy.

— A czy pamięta Pan, gdzie umieszczono tych Ukraińców, którzy przyjechali z Karagandy?

Między nas. I to chyba był błąd. Bo ich rozdzielili po wszystkich obozach, oczywiście *spec — łagrach*. To chyba był błąd, tak mnie się wydaje. Kierownictwo, to *naczelnictwo*, zrobiło wielki błąd. Bo oni byli bardzo dobrze zorganizowani. I muszę powiedzieć, że to byli ludzie, którzy jeszcze w 46 — 47 roku byli na wolności. I byli u nas — część spotkałem takich — którzy byli w Bieszczadach.

— Czy oni coś mówili o Karagandzie?

Tak. To było wiadomo, że oni przyjechali z Karagandy.

— Ale czy coś opowiadali, co się tam stało? Dlaczego ich tu wysłano?

Mnie trudno teraz powiedzieć. Nie chcę nic tworzyć...

— Jak odebrano ich przyjazd, ich samych? Jak było wasze nastawienie do nich?

To nazywało się etap. Że „przyszeli nowy etap”. Etapy przychodziły w ciągu lata tylko. Każdy etap był przyjmowany jako nowość, że: „Co się dzieje za drutami?” Oni przyjechali z innych drutów, jechali przez część tego kraju. I każdy szedł, każdy się dowiadywał, czy nie ma jakiegoś kolegi, znajomego. Nie było jakiejś wrogości, tylko raczej ciekawość — co ci ludzie z sobą przynoszą.

— Czy Panu coś mówią takie nazwiska: Dikariew, Sobolew, Raczkowski Antoni?

Tak. Raczkowski przyszedł do obozu, kiedy był *spec — łagier*. To był młody chłopak, bardzo silny, Polak. Ja jego namówiłem, żeby przyszedł na hutę szklaną pracować. I był z początku. Zresztą ja uprzedzałem, że praca bardzo ciężka, że trzeba pracować, ale „pod dachem, w ciepłe, dobre wyżywienie”. Taka była umowa między mną a Dytrychem, ponieważ mnie wierzył, że potrafię wyselekcjonować tych lepszych ludzi, dlatego, że zależało jemu, żeby wykonywać plan.

I Antek rzeczywiście przyszedł do naszej brygady, zaczął pracować. Ale po jakimś czasie Antek zrobił się rogatą duszą. Z tym, że spał z *blatnymi*. Młody chłopak, który był bardzo podatny — na nie za dobre wpływy. Ponieważ ja byłem częściowo odpowiedzialny za wykonanie jakiegoś planu, jakiegoś zadania, jakiejś roboty, więc nastąpił konflikt między mną a Antkiem Raczkowskim. Mój obowiązek był wypełnić plan, i to było moje życie, nie wiem, jak to powiedzieć, jakiś tam dobrobyt mój i całej brygady. I chyba Antek został spisany z brygady. Później poszedł chyba na *kotłowny* do *Gorstroju*...

— Czy Pan go pamięta w czasie strajku?

Tak. Pamiętam. Spotkałem się. On nawet przyszedł do mnie z pretensją, bardzo szurał do mnie, że ja jego dałem spisać z brygady.

— Czyli te spisanie było jakoś tuż przed strajkiem?

Nie, to nie było przed samym strajkiem, to było dość długo, tylko te sprawy się pamięta. Bo jak ktoś z dobrego, ciepłego miejsca dostaje się na gorszą robotę, to trudno mówić...

— On się chciał jakoś zemścić na Panu?

No, chyba tak.

Miał takie zamiary?

Chyba tak.

— On chciał Pana pobić, zabić?

Nie wiem, czy zabić, nie wiem, czy pobić, w każdym bądź razie miał...

— A jak się to skończyło?

Nie wiem. Chyba koledzy... Ale ciekawe, kto panu opowiadał...

— Nikt nie opowiadał. To znaczy o Antonim Raczkowskim?...

Kolego, ja jestem po 10—ciu latach obozu. Ja sam mogę być śledczym. Ktoś mówił panu o tym.

— Nie, naprawdę nie. O Antonim Raczkowskim mówił, natomiast o tym, że Pan...

A stosunek między mną a Raczkowskim?

— Nie, absolutnie nie. Natomiast mówiono, że Raczkowski był w komitecie i że był taki właśnie bojowy, zabijaka...

Tak. Był zabijaka. Ale to był chłopak — później się zorientowałem — bezideowy. Tak mi się właśnie wydawało. Zupełnie inny charakter niż na przykład Zbyszek Szelking. Zbyszek Szelking też był dzieciakiem aresztowany, miał 15 lat. I Raczkowski był młodym chłopakiem. Ale to byli zupełnie inni ludzie. Właśnie był zabijaka, był rozrabiaka. Był bardzo silny, nie ulega wątpliwości, że był bardzo silny. I z początku odznaczał się, naprawdę był dobrym pracownikiem, nie chcę powiedzieć robotnikiem, bo już został palaczem na piecu, to już była jakaś tam hierarchia, wyróżnienie. Był zdolnym palaczem. Ale zaczął partolić robotę. Tego nie wolno było robić, bo od jego roboty — to była praca taśmowa — zależał kawałek chleba całej brygady.

— Jaki był stosunek reszty Polaków do niego, kiedy on się skumał z błatnymi?

On odszedł z brygady, nasze drogi się rozeszły. Tak, jak powiedziałem, brygady na *Gorstroj* wychodziły i wracały po 12 godzinach. Przypadek był, że się spotkało z kimś z brygad z *Gorstroju*. Bo my ześmy mieli inny czasokres pracy. U nas były 3 zmiany, więc się wychodziło na nocną zmianę: oni byli w robocie. Jak przychodziłem — oni wychodzili.

— A czy słyszał Pan o Kosibie? Stanisław Kosiba.

Słyszałem o Kosibie, ale to ze „Znachora”. W „Znachorze” był Kosiba. Dołęga—Mostowicz zdaje się opisuje o Kosibie. Nie. Nie kojarzy mi się z tym.

— A Tadeusz Nagłowski?

Tak, oczywiście. Byłem kilka lat temu wstecz na jego pogrzebie w Gdyni. Kulturalny, inteligentny chłopak. Pożyczał mi książki, nie wiem w jaki sposób do niego dotarły te książki, ale i „Pan Tadeusz”... Przeczytałem, zresztą nie pierwszy raz nawet. Zbyszek Szelking, który pracował w introligatorni, zrobił mi takie grube bruliony, ja przepisałem całego „Pana Tadeusza”, przepisałem „Grażynę”, „Wallenroda”, po prostu zawiązałem się, żeby jakoś — jeśli przez ileś lat nie trzymało się ołówka w ręku czy nie pisało się po polsku...

— To były polskie książki, tak?

To były polskie książki. Nie wiem, w jaki sposób one dotarły do obozu, ale dotarły.

— A czy próbował Pan prowadzić jakiś dziennik, zapiski?

Nie. Tam nie było co prowadzić. Każdy dzień był taki sam, przez 10 lat. Tam jak wpadło się w ten wir, to nic się nie zmieniało. No chyba, że etap z Karagandy przyjechał, ktoś z jednego obozu do drugiego poszedł albo mnie spisali czasowo do *Gorstroju* i człowiek oczekiwał, że go ściągną z powrotem.

— A czy słyszał Pan o pobiciu Nagłowskiego przez Ukraińców w czasie strajku? Podobno chciał wyjść z obozu.

Nie słyszałem. Nagłowski nie wychodził z obozu. My ześmy wyszli. Nagłowski w jaki sposób? Nagłowski urodzony w Wilnie, więc obywatel ZSRR. Dlaczego go pobili, trudno powiedzieć. To była olbrzymia zbiorowość ludzka i tam były różne wypadki...

— W jaki sposób Raczkowski mógłby się na Panu zemścić? Pan powiedział, że nie chciał zabić, pobić też raczej nie. Jak w takim razie?

Pobić to może i by mnie pobił. Żeby nie koledzy, to może by mnie pobił. Nie wiem jak. Wiem, że rzucił się do mnie, jakieś tam miał te porachunki. Ale ja powiedziałem, dlaczego.

Przedemną było zawsze spotkanie ze Stanisławem Dobrowolskim, że powiedział:

— Będziesz pracował, to przeżyjesz.

I najlepszy dowód, że na hucie szklanej byłem prawie cały czas, poza jakimś tam wyjątkowym przesłaniem do innej brygady na inną robotę, i później wracałem. Tak samo szwagier powiedział, który już nie żyje, powiedział:

— Pojdiesz, radzę ci iść do wodociągów.

I poszedłem, i przepracowałem od 54 roku do 81. Też poszedłem niczym, a skończyłem jako dobry pracownik. A nie każdy tak podchodził do tej sprawy. No ale ja uważam, że [Raczkowski] to był młody człowiek. Może fizycznie bardzo dojrzały, psychicznie nie za bardzo. To był wiejski chłopak, osilek.

— A czy słyszał Pan o takim człowieku: Michail? A Marko?

Nie. Niech pan czyta po kolei wszystko, będzie łatwiej.

— Niektóre są nieaktualne. Czy słyszał Pan może o inżynierze Bizielu albo Bizuniu? A inżynier Szumski?

Tak. Był inżynier Szumski, ale ja z nim stosunkowo jakoś mało miałem do czynienia. Tam byli jeszcze później: Władysław Malec—Malczewski... To w obozie było tak samo, jak w życiu normalnym, powszednim: do jednego się czuje jakąś sympatię czy pociąg, do drugiego nie za bardzo: „Dzień dobry, dzień dobry. Do widzenia, do widzenia.” Nie można jakiegoś zdobyć...

— A takie nazwisko Worobiew?

Takie bardzo pospolite nazwisko, ale...

— Kuźnicow?

Kuźnicow? Nie kojarzę.

— A czy przypomina Pan sobie: czy w obozie Piątym było parunastu, parudziesięciu byłych oficerów radzieckich, zamkniętych w oddzielnym baraku, chorych psychicznie?

W ogóle takiego baraku nie było. Kto panu to powiedział? Była ta rzeczywiście ta *san—czast*, gdzie mnie

operowano, wyjmowano odłamki, ale tam nie było psychicznie chorych. Według mojego zdania. Może rzeczywiście gdzieś w ukryciu.

— A słyszał Pan o takim Litwinie Jurgalisie albo Jurgasie?

Nie słyszałem.

— A czy w ogóle w Norwysku był moment, kiedy słyszeliście strzelanie?

Strzały tam bez przerwy, wybuchy, były.

— A w czasie strajku?

Nie przypominam sobie. Na pewno też były. Na pewno była strzelanina, ale nie mogę sobie tego uzmysłowić. A jeśli idzie o jakieś huki, strzały czy jak to nazwać, to były dlatego, że w okolicy obozu było bardzo dużo budów. Żeby coś ułatwić i przyspieszyć pracę tych więźniów, tych robotników, to zakładano ładunki wybuchowe, i odpalano. I to echo niesło bardzo daleko, było to słychać.

— A czy chodziły plotki o buncie oficerów estońskich, jeszcze długo przed śmiercią Stalina?

Nigdy nie spotkałem jakiejś grupy oficerów estońskich. Dziwię się, kto dawał takie wiadomości. Wszyscy byli — może byli oficerowie łotwscy, może byli rosyjscy, może byli estońscy — ale oni byli rozrzućeni po brygadach. W naszej brygadzie był na przykład bardzo zany, bardzo pracowity, bardzo kulturalny Estończyk Ujbo [Ojbo?], do dziś dnia pamiętam to nazwisko. To był dziennikarz, nawet mam gdzieś zapisane, w jakim mieście mieszkał. Wiele żeśmy rozmawiali. Był bardzo pracowity. Na przykład zupełnie inne wydanie człowieka jak Raczkowski. I zaznaczam, że to pracownik umysłowy i był nieprzeciętnie pracowity. No bo też rozumiał, że jeśli będzie pracował, to przeżyje, dostanie większy kawałek chleba. A nie usiąść i zaczynać tak [klepać się po kolanach]. Tak mógł siedzieć 10 godzin i klepać się.

— Raczkowski?

Raczkowski i podobni do Raczkowskiego, właśnie ci błatni.

— Pan wspominał wczoraj o gazetach: czy na codzień były?

Nie. Na co dzień nie było gazet. Były trudności, jakoś tam po protekcji, nie wiem skąd — był potrzebny bardzo papier do palenia i dostawało się. My, jak pracowaliśmy na hucie, byli między nami wolnonajemni i oni nam przynosili te gazety, w którą się zakręcało machorkę i paliło.

A wszystkie wiadomości to były... Jednego interesowało, co się dzieje na świecie, drugiego nie interesowało.

— Okulary, Pan mówił, że zabrano...

Zabrano. Mnie było bardzo ciężko bez okularów. Dopiero chyba w 51 roku ja dostałem okulary.

— Ale kto Panu zabrał?

Jak na etap jechaliśmy — zabrano i nie oddano.

— Znaczy władze, nie błatni?

Nie, nie. Władze oczywiście.

— Skąd Pan wziął je w 52 roku?

Okulary wypisano mnie, kiedy leżałem w szpitalu na Czwartym łag — oddzieleniu. Byłem na operacji. To był rok 50, i tam mnie wypisali okulary. Ale okulary trzeba było kupić za własne pieniądze. Trzeba było mieć pieniądze, bez pieniędzy okularów nie dawali. Ja nie miałem, bo w tym czasie nie płacili pieniędzy. I mnie koledzy się złożyli, bo byli niektórzy, którzy dostawali pieniądze z domu, listami, ci którzy mieszkali na terenie ZSRR. I koledzy się złożyli.

— A dużo osób w obozie nosiło okulary?

Trudno mi powiedzieć. Japończycy, dużo bardzo Japończyków, jak przyszedł ten etap z tymi oficerami z Armii Kwantuńskiej, bardzo dużo miało okulary.

— A przezywali Pana jakoś: „inteligencik”, jakoś tak?...

Nie, nie...

spisał Zdzisław Kuzar
koniec